

Strych jak twierdza ☆ Zawsze z mikrofonem ☆ Przyjazd rybaltów ☆ Epizody z życia erotycznego ☆ Krzyżówki

PL ISSN 0465-7667 Nr indeksu 36 650

małodo drze

ZIELONA GÓRA 9 II 1986 — 22 II 1986 R.
ROK XXX NR 3 [608] CENA 15 ZŁ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Nie róbcie ze mnie świętej

Halina Ańska

Przedemną dziesięć kartek papieru. Jak na nich zmieścić całe życie przeszłe i teraźniejsze osoby tak niezwykle i pod wieloma względami wyjątkowej, jaką jest Halina Lubicz? Co pominąć, co odrzucić, nad czym przemknąć gładkim skrótem, jeśli wszystko, co mam na taśmach, w notesie i w pamięci jest fascynujące, jak ona sama? Jej nazwisko znają tysiące ludzi, jej twarz, głos i role pamięta do dziś publiczność teatrów w Zielonej Górze, także w Poznaniu, a może nawet w Toruniu.

— Pani „Wdowa w „Balladynie” zapadła mi głęboko w serce i zmieniła mój stosunek do matki — powiedział jej ktoś spotkany przypadkiem, teraz, gdy od czasu wystawienia „Balladyny” przez zielonogórski teatr, minęło co najmniej 10 lub 12 lat! Nie oceniamy ludzkiej pamięci. W teatrze dziecięcym w Kutnie grała w bajce „Zabi król”, była wtedy pensjonarką, miała 14 lat. Pewien chłopiec chciał grać królewicza, ale reżyser wybrał innego. Minęło pół wieku i oto nagle pewnego dnia dzwonek u drzwi, w progu staje starszy pan: Ach, jak ja się w pani kochałem, jak bardzo cierpiełem, nie mogąc być pani partnerem!

Pisano o niej bardzo wiele, ma reportaż o sobie w gazetach polskich i zagranicznych, miała wywiady w radiu i telewizji. Jej sylwetkę pięknie przedstawił Michał Kaziów w swej biograficznej książce „Gdy moim oczom”, którą jej poświęcił, jak ona poświęciła jemu część swojego życia. Tak, nie łatwo teraz pisać o Halinie Lubicz, zna jej, podziwianej, sławnej, cieszącej się ogólnym uznaniem jubilatce, zwłaszcza, że ona, na przekór czasowi i prawom natury, obchodząc swe osiemdziesiąte urodziny, ma serce i duszę młodej kobiety!

Jako dwudziestoletnia dziewczyna przeczytała w porannej gazecie, że „Piłsudski na czele wojska wkroczył do Warszawy i rząd Witosza został obalony”. Gdy miała lat 30 radio podało komunikat o pierwszych poważnych ruchach antypolskich w Wołnym Mieście Gdańsku. Czterdziestkę obchodziła w młodej Polsce Ludowej, pięćdziesiątkę w pamiętnym dla naszego kraju roku 1956. Mieć w pamięci oglądany naocznie bieg historii, móc spojrzeć wstecz aż tak daleko w głąb czasu, to wspomnienie i podniosłe uczucie, mówię. Ale pani Halina nie ma czasu zatapiać się w przeszłość a tym bardziej rozważać swój udział jako jednostki, w procesach historycznych, byłoby to po prostu śmieszne!

Jej dzień dzisiejszy w sposób jak najbardziej realny wstaje z dzwonkiem budzika, każe szybko otrząsnąć się ze snów, biegnąć do sklepu po mleko, zająć się domem, Michałem, a potem z polem śpiewających seniorek i tysiącem innych spraw. Nie ma czasu na pieśczęty, jak mawiała babcia-general.

Jest w tym dzisiejszym rygorze jakieś słabe echo dzieciństwa, które spędziła w Dreźnie, u boku kochającej, lecz surowej babki. Rodzice byli aktorami w teatrach objazdowych, oboje piękni, młodzi, utalentowani, zajęci sobą, teatrem. I co mogło im się przydarzyć najbardziej kłopotliwego, to właśnie urodziny tego maleństwa, w dodatku słabego i niedonoszonego. Trasy nie można było przerywać, akurat wypadły wyścigi w Białej Podlaskiej. Przyjechała więc babcia-general, osobiście zapakowała dziecko w ogrzewany, papierowy worek i nazajutrz po urodzeniu przewiozła podłogiem do Drezna. Gdy miała podrosła, oddała ją do szkoły baletowej z internatem.

Jakże przydała się późniejszej aktorce ta szkoła! W teatrze w Toruniu, potem w operetce poznańskiej — u Wojciechowskiego, Szczepkowskiego, zawsze dostawała role pełne ruchu, poza tym umiała ustawiać balety. Drezdeńska szkoła, potem harcerstwo, dały jej dużą sprawność fizyczną. Parokrotnie ratowała tonących, także Michała, o czym wspomina on w swej świetnej książce. Mając lat 68 uczyła niewidomych pływać w jeziorze pod Poznaniem. Choć to może nie licuje z dostojnym jubileuszem, powiem, że pani Halina do dziś jest tak wspaniale wygimnastykowana, iż mogłaby jej pozazdrościć niejedna dziewczyna.

Ciąg dalszy na str. 4

CZYSTA ROBOTA

Jerzy Mischke

— Myślałem sobie: to niemożliwe, żeby zasypiać w połowie transmisji z Mundialu. Mój ojciec jest kibicem i piłki i żużla nie przegapi. Jednak mecz trwa a on śpi. Nie rozumiałem tego. Też raz ze mną jest tak samo. Ma grać na przykład Widzew, siadam przed telewizorem i już po kwadransie śpię.

Zielonogórski piekarz Stanisław Rzepka, lat 56, ma właśnie taki niezrozumiały nawyk. Smolarek robi kiwkę, a on drzemie. Przyzwyczajeniu ojca do dwóch lat mniej więcej przestał się dziwić średni syn Waldek (31 l.). Dzisiaj też już prawie piekarz. Jeszcze nie wyzwołany, jeszcze przed czeladniczymi egzaminami, ale jednak piekarz. Chociaż w szufladzie, wśród domowych pa-

pierów, leży dyplom Wyższej Szkoły Pedagogicznej. Czyli — magister.

Jest pierwsza w nocy. Dwóch uczniów staje do chleba. Bochny z pieca wyciąga Staszek, pseudonim-Kierownik. Dziwna rzecz, nie słychać poleceń. Nikt nikogo nie ponagla. Zamiast dyspozycji leżą uwagi o Elce, z którą są jakieś kłopoty, i o nowościach sklepu „Unitry”. Na desce zawsze dwanaście bochenków.

Nie rozmawiamy o potrzebie strycho wania, o studzeniu bulek przed ułożeniem ich na blachach, o mieszkankach maki czy też o zakwasie. Waldek właściwie Waldemar, mówi, że zawód zmienił z żalem i niechętnie. Cztery lata był nauczycielem i zdążył tą robotę polubić.

— Jak mnie koledzy w szkole żegnali, to chyba się nawet popłakałem. Praca w szkole nie jest może szczęściem, jak to się górnicy nazywa, samorealizacji, ale daje szansę przeżycia dni ciekawych, nie podobnych do siebie, jak jeden biurowy segregator do drugiego, jak dwa worki maki. W sensie finansowym jednak praca w szkole skazuje człowieka na biedne życie. Nie, nie chodzi, o tęsknotę za gigantyczną forszą. Chodzi o to, żeby wystarczyć od pierwszego do pierwszego. Na normalny dom, bez fanaberii i szalonych apetytów.

W radiu „Muzyka nocna”, artystka śpiewa o papierowym księżycu, a tu pora na kręcenie bulek. Kuba, Piotrek, Darek, i Bogdan dokładnie wiedzą co należy robić. Ktoś wyciąga wagę, kto inny przynosi mąkę do podsypywania. Nie ma czasu na spokojne zaciągnięcie się „popularnym”. Zresztą majster w piekarni palić nie pozwala. No, ale majster przyjdzie koło trzeciej i w zasadzie można z tym szluzgiem pokombinować. Tylko kiedy?

— Ile czasu można brać, powiedzmy — pożyczac — jakby sam siebie pytał Waldek. Zresztą nigdy nie umiałem tego robić. Zawsze mnie to krepowało. A głupio jest, kiedy dorosły syn poży-

cza od rodziców i wie, że nie odda. Parę lat tak było. Wreszcie nie wytrzymałem. Ojciec przyjął mnie chętnie. Myślę, że to było jego skryte marzenie. Pasowało mu, kiedy do piekarni zastukał Marek, mój starszy brat. No, i kto wie, czy nie przyjmie trzeciego syna — Tomka.

Znak firmowy — Rzepka. Rzepka i synowie.

Można powiedzieć, że ta „druga zmiana” w piekarni Stanisława Rzepki pojawiła się dla pieniędzy.

I właściwie jest to prawda. Tylko może tak jakś niedobrze brzmi. W takim stwierdzeniu zwykle szuka się tajemnych podtekstów. A w ogóle przyznawanie się do szukania pieniędzy, choć wie dlaczego, uważane jest za nie tak lub co najmniej podejrzane deklarację. Waldek nie chce się z niczego tłumaczyć.

Przestał bledować. Trudno. Zaczął piec chleb. Nie ma się czego wstydzić. To porządne zajęcie.

Nie, nie bał się, iż czegoś tam nie zrozumie. Ze nie pojmie tajemnicy chleba. To jest w końcu normalna robota, a nie żadna szarlataneria. Zresztą jest kogo prosić o radę. Centrala dystrykcyjna to ojciec.

Waldek bał się harowy. Tak, jego strachem była obawa przed fizycznym wysiłkiem. I łuszną. Jeszcze, kiedy mieszkał na Srebrnej Górze, a mieszkali nie mały w piekarni, napatrzył się na piekarczyków zasuwanie. Tu trzeba zasuwac.

On jako pętał, miał z tą robotą do czynienia. I było to doświadczenie zupełnie nieteoretyczne. Pracowali też bracia. Trochę dlatego, że rodzicom trzeba było pomóc, a trochę po to, żeby mieć swój grosz. No, a na wakacje to już obowiązkowo trzeba było zarobić samemu. Choć prawda, po robocie zasypiali jak koty, na posadzce przy piecu.

Znowu ten szmer, pomruk, szum. Czasami stukot drewnianej łopaty albo pisk mieszała. Piekarnia gra kiedy idzie chleb. Dziwna to muzyka. Podstawowe akordy podaje piec. Niezbędnym akompaniamentem jest szuranie butów. I wreszcie uspakajające, jak finałowe rondo, przesuwanie gorących bochenów po desce. Pasuje jednak w tej aranżacji także piosenka Dudka, śpiewana w fal-

Ciąg dalszy na str. 4

Opinie i refleksje

Odważny i radykalny gest

Tak określiła niedawne propozycje rozbrojenia Michała Gorbaczowa — belgradzka BORBA. Gazeta podkreśla, że plan przywódce radzieckiego oparty jest na „całkowicie nowym podejściu” do problematyki rozbrojenia. Zdaniem dziennika „propozycja Moskwy trudno będzie po prostu odrzucić, gdyż są one realistyczne, przewidują dłuższy okres na realizację całego planu i akceptują wszelkie rodzaje kontroli zbrojeń nuklearnych”.

Premier grecki Andreas Papandreu w przemówieniu wygłoszonym na przyjęciu wydanym z okazji Międzynarodowego Roku Pokoju stwierdził, że trójstronny plan Michała Gorbaczowa uwolnienia świata od broni atomowej jest bardzo ważny, gdyż ustanawia określone limity czasowe dla zrealizowania tego doniosłego celu. Propozycja ta jest — powiedział premier grecki — wywierającym wielkie wrażenie posunięciem na międzynarodowej szachownicy. Kontynuując te myśli Andreas Papandreu ujął swą ocenę „Planu Gorbaczowa” w następujących słowach: „Jest to odważna i oryginalna propozycja zagwarantowania życia naszej planecie”. Propozycja ta, przewidująca wzajemne wycofanie i zniszczenie wszystkich broni jądrowych oraz innych broni masowej zagłady, po stawia cały świat przed nową rzeczywistością.

Na zakończenie Andreas Papandreu podkreślił z naciskiem, że Stany Zjednoczone powinny uważnie przestudiować plan radziecki, kierując się „pozytywnym, realistycznym podejściem”, ponieważ ostateczna decyzja Waszyngtonu określi przyszłość Ziemi.

Charakterystyczny jest również szeroki odzew na propozycję sekretarza generalnego KC KPZR ze strony państw Trzeciego Świata, które doskonale rozumieją, że wojna nuklearna nie dotyczyła by tylko istniejących obecnie dwóch wielkich ugrupowań polityczno-militarnych, t.j. NATO i Układu Warszawskiego, lecz przyniosła by zagładę całej ludzkości.

Wreszcie, od chwili ich ogłoszenia, propozycję Michała Gorbaczowa i komentarze do nich nie schodzą z lamów prasy światowej. Tak np. jeden z czołowych dzienników amerykańskich WASHINGTON POST napisał ostatnio, że plan przywódcy radzieckiego jest czymś więcej, niż propozycją redukcji zbrojeń dwóch wielkich mocarstw. W sposób oczywisty — stwierdza gazeta — rozpoczęła się nowa faza stosunków między Wschodem a Zachodem.

AGENCE FRANCE PRESSE podkreśla w swym serwisie publicystycznym, że plan Gorbaczowa może przyczynić się do bardzo istotnego postępu rokowań w sprawie redukcji zbrojeń. Powołując się na źródła dyplomatyczne w Moskwie, agencja pisze, że Kreml wyszedł daleko naprzeciw Stanom Zjednoczonym i obecnie do nich należy dokonanie decydującego kroku, jakim mogła by być tylko rezygnacja z programu tzw. „wojny gwiazd”.

W tej kluczowej dziedzinie ścierają się w Waszyngtonie dwie tendencje. Jedną z nich podtrzymuje nadal tezę o konieczności militarystycznej przetrwania kosmicznej, drugą uważa, że należałoby z niej zrezygnować i przystąpić do poważnych rokowań nad propozycją radziecką. O takiej właśnie sytuacji panującej obecnie w Waszyngtonie pisze wyrażenie na swoich łamach INTERNATIONAL HERALD TRIBUNE:

„Niestety, administracja Ronalda Reagana jest podzielona — w tej kluczowej kwestii. Rozumna część administracji dostrzega konieczność zawarcia odpowiednich porozumień w celu zmniejszenia groźby wojny. Jednakże są i tacy, którzy traktują przyznanie się USA, iż są podatne na niebezpieczeństwo, jako niedopuszczalną utratę pewności siebie i z tego względu sprzeciwiają się wszelkim porozumieniom. Ta właśnie grupa ludzi jest motorem napędzającym „wojny gwiazd”.

W dalszym ciągu dziennik, w oparciu o opinie wybitnych ekspertów, udawadnia całą złudność tej koncepcji. Czytamy tam, że naukowcy są jednomyślni w ocenie, iż ZSRR potrafi sobie z łatwością zapewnić cały pakiet odpowiednich kontrposunięć. Dlatego też uczeni ci w swym raporcie skierowanym do rządu USA stwierdzają, iż mądrość nie polega na ugięciu się za mirażami kosztujących biliony dolarów, lecz że bezpieczeństwo Stanów Zjednoczonych zależy wyłącznie od ustabilizowania stosunków ze Związkiem Radzieckim oraz wykroczenia na drogę redukcji a nie perspektywy — pełnej likwidacji arsenałów nuklearnych. Ten właśnie kierunek wskazują ostatnie propozycje radzieckie.

MICHAŁ HOROWICZ

Rok X Zjazdu PZPR

Pozycja startowa

Dla Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej a również dla społeczeństwa, rok 1986 będzie przebiegał w atmosferze dyskusji, konstatacji pod znakiem X Zjazdu. W województwach kampania już się rozpoczęła, w zielonogórskim — na XIII plenarnym posiedzeniu Komitetu Wojewódzkiego. Odbędzie się rozmowy z członkami partii. Mają one charakter konsultacyjny. W podstawowych organizacjach odbywają się zebrania, których celem jest określenie ich miejsca w otaczającej, realnej rzeczywistości, wybory delegatów na konferencje zakładowe, gminne, miejskie. One zaś ustalą skład uczestników na konferencje wojewódzkie, które wybiorą delegatów na czerwcowy X Zjazd. Po zjeździe — w tych samych składach delegatów — odbędzie się wybory wojewódzkich i niższych władz partyjnych, do szczebla podstawowego. Rok 1986 będzie przebiegał pod znakiem szczególnej aktywności całej partii.

IX Nadzwyczajny Zjazd obradował nad wyprowadzeniem Polski z głębokiego kryzysu gospodarczego, społecznego i politycznego. Był startem do zasadniczych przeobrażeń strukturalnych w naszym kraju. IX Zjazd to nie tylko reforma gospodarcza ale również ogólna demokratyzacja zasad funkcjonowania państwa we wszystkich jego ogniwach. Nie powiodły się próby zlekceważenia, zakrycia ustaleń IX Nad-

zwyczajnego Zjazdu. Słuszność jego ustaleń potwierdziło życie.

Pierwsza część kampanii, przedzjazdowa, będzie zapewne przebiegała pod znakiem rozliczeń z konsekwencjami wcielenia w życie ustaleń poprzedniego zjazdu, zsumuje sukcesy i porażki w sferach samej partii w jej działaniu zewnętrznym, czyli spełnianiu kierowniczej roli w procesie budownictwa socjalistycznego. Nie ma żadnego powodu do smutku na laurach dlatego, że w stopniu minimalnym nastąpiła stabilizacja rynku, częściowe zniżenie cen, regulacja. Istnieje świadomość, że obok samoceny, równie surowa a może jeszcze surowsza jest ocena funkcjonowania partii przez społeczeństwo. Ma ono prawo stawiać przed partią bardzo surowe wymagania.

Z REGIONU

XIII plenarne posiedzenie Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Zielonej Górze, inaugurując przygotowania do X Zjazdu, skupiło swoją uwagę na kwestiach gospodarczych, bo na tej płaszczyźnie rozgrywa się obecnie nasz polski los. Oceniono stopień realizacji założeń planu trzyletniego, którego celem było wyprowadzenie kraju z zapaści gospodarczej. Ocena, jeśli pamiętać o rozmiarach trudności — brak rąk do pracy, kłopoty energetyczne i surowcowe — wypadła optymistycznie. W momencie wchodzenia regionu w plan trzyletni, obejmujący lata 1983-85, gospodarkę województwa cechował ostry spadek produkcji przemysłowej, w porównaniu z 1980 rokiem o 19 procent. W bud-

ownictwie mieszkaniowym oznaczało to zmniejszenie oddawanych do użytku mieszkań o 1000 rocznie! Rynek był spustoszony, powiązania gospodarcze zerwane. Stwierdzono, że plan 3-letni, przy wszystkich niedostatkach, w zasadzie spełnił pokładane w nim nadzieje. Nastąpiło zwiększenie wydajności pracy. W porównaniu z rokiem 1984, ostatni rok trzylatki — 1985, dał w przemyśle przyrost produkcji 7,2 procent, o 3,4 procent lepszy niż średnio w kraju. W porównaniu z rokiem 1980 ocenianym jako najlepszym, rok 1985 przyniósł produkcję wyższą o 1,8 procent. W województwie duży plus na swoje konto zapisał też szereg ważnych zakładów pracy, należących do przemysłu odzieżowego, elektrotechnicznego i elektronicznego, skórzanego, drzewnego, meblarskiego. Sukcesy mają „Polska Wełna”, „Odra” z Nowej Soli, zielonogórskie „Zastal”, świebodzińska „Elterm”. W elekcie nastąpiła poprawa zaopatrzenia rynku. Więcej na nim obuwia, odzieży, mebli. Również w produkcji na eksport nastąpiła poprawa. Wyróżniły się „Zastal”, „Lumel”, Zielonogórska Fabryka Mebli, „Kromet” z Krosna. Na optymistyczną ocenę rezultatów planu 3-letniego wpłynęły również wyniki zielonogórskiego rolnictwa. Plusując się na 35 miejscu w kraju pod względem jakości gleby, województwo ułokowało się na 10 pozycji jeśli idzie o rezultaty produkcyjne. Zawdzięczać to można nie tylko sprzyjającym warunkom atmosferycznym ale i bardzo dobrej pracy rolników z sektora uspołecznionego i chłopskiego. Zaowocowało to odczuwalną poprawą zaopatrzenia rynku w żywność.

Gospodarka powraca do zdrowia! Plenarne posiedzenie Komitetu Wojewódzkiego PZPR tak oceniło realizację planu 3-letniego, dostrzegając jednak wszystkie trudności i luki. Dyskusja na XIII Plenum zwracała uwagę na niedostatk reformy gospodarczej. Dyrek-

tor „Cariny”, fabryki obuwia dziecięcego z Gubina, której załoga bardzo mocno przebiła osiągnięcia roku 1980, przez lepszą organizację pracy, wzrost społecznej wydajności, stwierdził wręcz: „Nie wszystkie wnioski z każdej dyskusji, należy wprowadzać w życie”. Zaś działacz partyjny, kolejarz z Zagania podkreślając, że sukcesem jest elektryfikacja trakcji odzieżskiej, mówił i o tym, że modernizując linię Śląsk — Szczecin zapomniano o uwolnieniu możliwości przyspieszenia ograniczeń pociągów. Dla zbieraczy anegdot gospodarczych interesujący będzie podany przez tow. Drożdża przykład pociągu pasażerskiego. — Jeden wagon z 10 pasażerami ciągnięty jest przez dwie lokomotywy. Jedna — parowa ogrzewa, spaliniwa ciągnie. Godzina pracy jednej lokomotywy kosztuje 130 tysięcy złotych. Taki pociąg — widmo krąży, ponieważ przemysł nie produkuje lokomotyw o mniejszej mocy i nie wiadomo, kiedy je zacznie wytwarzać.

Pomyślna realizacja planu 3-letniego stworzyła niezły start w ambitny, choć mocno odbiegający od potrzeb społecznych plan pięcioletni, który nadal wykonywany będzie w warunkach trudnych — przy braku rąk do pracy, z kłopotami energetyczno-zaopatrzeniowymi.

XIII plenarne posiedzenie Komitetu Wojewódzkiego PZPR, dając początek kampanii wokół X Zjazdu, zajmując się sprawami gospodarczymi, stworzyło dla organizacji partyjnych płaszczyznę dyskusji nad przyszłością.

RYSZARD ROWIŃSKI

Za Odra

Niekorzystna sytuacja demograficzna

Kłopoty z niedostatecznym przyrostem naturalnym ponownie dają o sobie znać w NRD. Dane publikowane w najnowszym roczniku statystycznym wskazują, że utrzymuje się niekorzystny trend z początku lat osiemdziesiątych, kiedy na stał się ponowny spadek liczby urodzeń. Ostatnio liczba ludności NRD zmniejszyła się i na początku 1985 r. wynosiła 16,7 mln.

W drugiej połowie lat siedemdziesiątych wydawało się, że NRD ma już za sobą okres niżu demograficznego. Podkreślano efekty wielu przedsięwzięć państwa w zakresie opieki społecznej nad matką i dzieckiem. W maju 1976 r. po raz pierwszy przyznano wszystkim matkom prawo do płatnego urlopu w okresie jednego roku po urodzeniu drugiego dziecka, oczywiście poza urlopem macierzyńskim, który wcześniej przedłużono z 18 do 26 tygodni. W maju 1984 r. przedłużono również do 1,5 roku urlop wychowawczy dla matek, które urodziły troje lub więcej dzieci. Zwiększono jednocześnie liczbę miejsc w żłobkach i przedszkolach, rozbudowano system opieki medycznej nad matką i dzieckiem. Wszystkim młodym małżeństwom od 1972 roku udziela się nieoprocentowanego kredytu w wysokości 5 tys. marek. Umarza się go częściowo, gdy w rodzinie przychodzi na świat dziecko. Obecnie posiadanie trojga i więcej dzieci gwarantuje całkowite umorzenie kredytu.

W ciągu kilku zaledwie lat udało się przezwyciężyć w ten sposób niż demograficzny. W 1979 r. w NRD przyszło na świat 235.233 dzieci. Wzrost demograficzny pojawił się w 1980 r. — 245 tys. dzieł. W rok później nastąpił powolny spadek liczby urodzeń. W 1983 r. zanotowano 233.756 żywych urodzeń, a w ubiegłym roku — 228.135. Aby powstrzymać spadek liczby mieszkańców, należałoby co najmniej dwukrotnie zwiększyć liczbę rodzin z trójmiem dziećmi.

We wszystkich podstawowych warstwach społecznych NRD, jak wykazują badania statystyczne, przeciętna liczba dzieci w rodzinie jest podobna. W rodzinach chłopskich jest ona największa i wynosi obecnie 1,95, w inteligentnych — 1,73 oraz robotniczych — 1,72. Niektórzy socjologowie zwracają uwagę, że niekorzystna sytuacja demograficzna może być związana m.in. ze zbyt małą przeciętną powierzchnią mieszkaniową oraz obawami przed znacznym pogorszeniem sytuacji finansowej rodzin wielodzietnych.

Wiele ankietowanych kobiet podkreśla, że wychowanie więcej niż dwojga dzieci pochłania zbyt mało czasu na poświęcenie się własnym zainteresowaniom, rozrywkom kulturalnym oraz na odpoczynek. Troje dzieci w rodzinie okazuje się problemem, po przekroczeniu którego nie ma już czasu na nic więcej, jak tylko na niemal całkowite poświęcenie się obowiązkom rodzinnym. Wiele rodzin w NRD znacznie wyższe ceny ko-

bie, po prostu wygodne życie, własny ogródek, luksusowo urządzone domy leśnikowskie, samochód czy możliwość wyjazdów nad Morze Czarne lub na Węgry.

Elektrycznym od morza do granicy czeskiej

Ostatnio oddano do eksploatacji zelektryfikowany odcinek kolei żelaznej łączący się od Rostocku do Warnemuende. Dzięki temu trasa prowadząca od przystanku promowej łączącej NRD z Szwecją aż po Bad Schandau, na granicy czesko-słowacko-NRD-owskiej, jest całkowicie zelektryfikowana. Dzięki temu ułatwiono nie tylko transport wewnętrzny, ale także tranzyt na linii prowadzącej ze Skandynawii do Europy Środkowej i na Bałkany. Dzięki zakończeniu tej inwestycji będzie się on odbywał w szybszym tempie, tańszym kosztem a nadto środowisko naturalne zostanie oszczędzone od spalin. Dzięki przyspieszeniu biegu pociągów i robotom modernizacyjnym zwiększono liczbę pociągów na tej magistralnej linii. Szczególne znaczenie będzie miało usprawnienie komunikacji pomiędzy dwoma głównymi portami NRD-Rostockiem i Warnemuende.

Przed terminem zakończono także prace elektryfikacyjne na trasie Rosslau — Wittenberge, co z kolei znacznie usprawniło ruch kolejowy w relacji „wschód — zachód”. Również na węźle berlińskim dzięki robotom modernizacyjnym poprawiono komunikację.

Berlińska narada ekspertów

Niedawno toczyły się w Berlinie kilkunastogodzinne obrady specjalnej komisji ekspertów PRL-NRD ds. doskonalenia treści podręczników szkolnych historii i geografii. Tematem spotkania była wymiana informacji dotyczących zagadnień oświaty i wychowania w obydwu państwach a szczególnie roli edukacji historycznej i geograficznej w ideowym wychowaniu młodzieży.

Dokonano oceny treści najnowszych podręczników szkolnych historii i geografii oraz innych materiałów dydaktycznych. Obydwie strony stwierdziły zgodność konieczności dokonania niezbędnych korektur i wzbogacenia informacji dotyczących dzieł obu narodów, stosunków polsko-niemieckich, oraz tendencji rozwojowych w obydwu krajach. Berlińskie spotkanie służyć będzie niewątpliwie sprawie dalszego doskonalenia treści podręczników szkolnych w obu państwach.

Doradcy komitetu pacjentów

Nową i osobliwą formą aktywności społecznej stworzyli mieszkańcy Halle. Gdy w mieście tym przystąpiono do budowy wielkiej polikliniki zawiązała się „Doradca komitetu pacjentów”, który czuwał nad budową nowego obiektu. Od samego początku, przyszli pacjenci wypowiadali się w sprawie organizacji pracy w czasie budowy, a następnie mieli głos (oczywiście tylko doradczy) przy zakupie urządzeń rozmaitego rodzaju.

W stosunkowo krótkim czasie nowa poliklinika została wybudowana. Liczy ona 14 kondygnacji i składa się z 14 oddziałów specjalistycznych plus laboratorium, aptekę, oraz dobrze rozbudowane zaplecze socjalne dla pracowników i pacjentów.

Poliklinika dysponuje m.in. zakładem fizykoterapii, salą gimnastyczną i nowoczesnym gabinetem rentgenologicznym. Bardzo nowoczesnie wyposażony został również gabinet internistyczny (aparatura diagnostyczna oparta na działaniu fal ultrakrótkich) oraz chirurgia.

Dla pracowników wybudowano sale śniadaniowe oraz dużą jadalnię w której spożywane są obiady.

Nowa placówka wzniesiona kosztem 28 milionów marek obsługiwać będzie łącząc 55 tysięcy mieszkańców nową dzielnicę w mieście Halle, a także kilka tysięcy osób mieszkających w pobliżu.

„Komitet doradczy pacjentów” brał udział w odbiorze nowego obiektu i ma również w przyszłości służyć kierownictwu placówki radą i konkretną pomocą.

(Alfa)

Za Łabą

Promocja kultury

Ze sprawozdania rządu Federalnego o sytuacji języka niemieckiego na świecie, przedłożonego w końcu sierpnia 1985 r., wynika, że liczba audyentów uczących się języka niemieckiego zmalała z 17 mln w roku 1979 do 15 mln obecnie. Zakres posługiwania się językiem niemieckim i liczba uczących się go osób skurczyły się m.in. także w Stanach Zjednoczonych. Podwyższenie budżetu ministerstwa spraw zagranicznych na propagowanie kultury niemieckiej za granicą o przeszło 40 mln DM (3,2 proc.) ma służyć przede wszystkim obudzeniu ponownego zainteresowania niemieckim — „językiem nauki i gospodarki”.

Główny ciężar nauczania języka niemieckiego za granicą spoczywa na instytutach im. Goethego — jest ich obecnie 135 — i na 360 lektorach, wysłanych przez niemiecką Służbę Wymiany Akademickiej (DAAD). Oprócz tego w Centralnej Placówce ds. Szkolnictwa za Granicą pracuje 60 fachowych doradców.

Przeważającą część 15 mln uczących się niemieckiego, to mieszkańcy Europy wschodniej i środkowo-wschodniej, północnej i zachodniej. Na innych obszarach większe grupy uczących się niemieckiego znajdują się w Ameryce Północnej, Japonii i Korei. Tym samym w skali światowej język niemiecki zajmuje mniej więcej taką samą pozycję, jak hiszpański lub rosyjski; można go zakwalifikować jako ważny język regionalny.

(X)

Zgrzytliwa miłość

Tak określa się ostatnio w Republice Federalnej stan koalicji rządowej. Od dawna bowiem nie notowano w Bonn tak ostrej i zdecydowanej krytyki

swego partnera w rządzie jak styczniowa wypowiedź kanclerza Kohla. „Kierownictwo FDP musi powiedzieć w sposób jasny, czego chce na przyszłość. Jeśli chce wspólnego sukcesu w koalicji z CDU/CSU, to sukces ten jest możliwy tylko we współpracy nacechowanej zaufaniem. Próba kształtowania profilu partyjnego kosztem partnera jest dla wszystkich partii koalicyjnych szkodliwa i nie do zniesienia. Wszystko to za darmo w oficjalnym oświadczeniu, w którym kanclerz wyraził również „ubolewanie” z powodu głosów „stanowiących niepotrzebne obciążenie dla pracy rządowej”. Irytację kanclerza wywołała ostra krytyka ze strony działaczy FDP pod adresem ministra spraw wewnętrznych — Friedricha Zimmermanna (CSU) i jego parlamentarnego sekretarza stanu Spranger (też CSU). Atakowano ich za atrykcyjny kurs w polityce wewnętrznej, umożliwienie lub wręcz prowokowanie głośnych afer, niekompetencję Przewodniczący FDP w Badenii — Wirtembergi Doering narwał wręcz krytykowanych, „dwoma wielkimi mistrzami” z gabinetu Frankenstein. Zarzuty pod adresem przedstawicieli partii Straussa w rządzie połączone z żądaniem ich ustąpienia, nie są jedynym przejawem niezadowolenia FDP i zgryzoty wewnętrzkoalicyjnych. Na konferencjach partyjnych FDP przypomniano — domagając się dalszej dyskusji na ten temat — o konfliktach CDU i CSU na tle — przesądzonego tymczasem w formie kompromisu koalicyjnego — udziału RFN w amerykańskim programie badawczym SDI (wojny gwiazd). Akcentowano również — uczynił to sam przewodniczący FDP — Bangemann — odmienne podejście do sprawy reformowania przepisów o strajkach, gdzie FDP wyraźnie broni interesów kapitału. Z niezadowoleniem wielu działaczy FDP spotyka się również, uważamy za zbyt wsteczny i nieskuteczny kurs polityki obecnego rządu. Zainteresowani wyraźniejszym profilem swojej partii na rok przed wyborami do Bundestagu, a zarazem świadomi tego, że najbliższa przyszłość polityczna FDP związana jest ze współpracą z CDU i CSU obaj czołowi politycy Wolnych Demokratów — Bangemann i były przewodniczący, min. spraw zagranicznych Genscher — starają się w licznych wystąpieniach złagodzić narastający konflikt. FDP — przekonywują — jest wprawdzie krytycznym, ale lojalnym partnerem, pragnącym współdziałać z chęcią również w kolejnej kampanii wyborczej. Reakcje obozu chadekiego, zwłaszcza strausowskiej CSU, która nie jako tradycyjnie znajduje się w stanie wojny z FDP, nie wróżą jednak łatwego przejścia do porządku dziennego nad zaistniałymi konfliktami, które też nie tak szybko usuną zapowiedziane stale rozmowy przewodniczących partii koalicyjnych Kohla, Straussa i Bangemanna.

(tema)

Ogłoszenie

W „Sueddeutsche Zeitung”, jednej z najważniejszych gazet codziennych w RFN ukazało się ogłoszenie następującej treści: „Ja, Filip Windgassen, zawiadamiam z ogromną radością o zaręczynach moich rodziców, Brigitty Windgassen oraz Josefa Dahlmanna. Monachium — Aibling...”

Przyłączamy się do gratulacji „juniora”.

Alfa



Z książką i piórem

Rozmowa z Kazimierzem Malickim — pisarzem, działaczem społecznym

— Należy pan do tych nielicznych autorów zielonogórskich, których utwory literackie znalazły się w podręcznikach szkolnych. Gdzie i kiedy pan debiutował?

— Dokładnie 50 lat temu w „Piaście”, dodatku społeczno-kulturalnym do „Dziennika Kujawskiego” w Inowrocławiu, ukazał się mój pierwszy wiersz. Po tem pisałem wiele wierszy w duchu skamandryckim albo młodopolskim, drukowałem je głównie w „Piaście” oraz w „Wiciach Wielkopolskich”, tygodniku redagowanym przez Mariana Turwid. Na pisałem także kilka opowiadań wydrukowanych przez „Dziennik Kujawski”. We wrześniu lub październiku 1939 roku rozgłosiła nasza lokalna radiofonowa stacja la nadeść moją słuchowisko, niestety...

— Przed wojną związał się pan z dziennikarstwem.

— W sierpniu 1938 r. rozpocząłem pracę w redakcji „Dziennika Kujawskiego”, początkowo jako praktykant, potem kierownik działu miejskiego, a w sierpniu 1939 r., kiedy wszystkich dziennikarzy powołano do wojska, sam redagowałem „Dziennik”. Ta ostatnia funkcja tak mi się dała we znaki, że gdy 3 września padła pierwsza bomba na elektrownię w Inowrocławiu, co uniemożliwiło drukarnię, powiedziałem, że nareszcie

się wypię. Owcześnie zajęcie redaktorskie trochę przekraczało moje siły, ale wówczas sprzyjało moim ambicjom, a i wiązało się z awansem finansowym.

Wojna Brałem udział w bitwie pod Kutnem, działałem w AK, co potem... ale takie były czasy.

— W 1945 r. jako jeden z pierwszych przybywa pan do wyzwolonej Zielonej Góry i staje się księgarzem. Przecież mógł pan kontynuować doświadczenia dziennikarskie.

— W latach bezpośrednio powojennych, stalinowski człowiek z przeszłością AK-owską nie był mile widziany w dziennikarstwie. Po przyjeździe do Zielonej Góry związałem się z grupą operacyjną Komitetu Ekonomicznego Rady Ministrów, która zabezpieczała mienie polskie i uruchamiała fabryki. Po powstaniu Zarządu Miejskiego i Starostwa Powiatowego grupa operacyjna KERM przekazała swoje agendy nowym władzom i została rozwiązana. Wtedy po stanowilem przejąć księgarnię, obecnie znajduje się tam księgarnia muzyczna. Nabierałem trochę książek z dziedziny medycyny, techniki, widokówek i planów miasta, oczywiście niemieckich, i zacząłem tym handlować. Co jakiś czas wyprawiałem się po książki polskie do Poznania, Łodzi, Krakowa, sprowadza-



Kazimierz Malicki

łem artykuły piśmiennicze i gazety. Przyznam się, że kiepsko mi szło. Dlatego nawiązałem kontakt ze Spółdzielnią Wydawniczą „Wiedza”, która przejęła moją księgarnię, zostawiając mnie jako kierownika. Było to z korzyścią dla miasta, ponieważ od razu poprawiło się zaopatrzenie w nowości wydawnicze.

— Potem był pan kierownikiem działu, zastępcą dyrektora i dyrektorem zielonogórskiego „Doma Książki”. Nie sprzyjało to działalności twórczej, a jednak pisał pan.

— W 1952 roku rozpocząłem współpracę z piśmiennictwem księgarskim — „Naprzód”, w którym systematycznie przez wiele lat drukowałem swoje artykuły, felietony, fraszki. Po tym przyszedł czas powrotu

do literatury, pisałem jednak „do szuflady”.

— Powstałe w 1957 r. Lubuskie Towarzystwo Kultury jako swoją pierwszą książkę wydało zbiór pana baśni „O krasnoludkach, Jagusi i siedmiu zaklętych rycerzach”.

— Zygmunt Rutkowski z Archiwum Wojewódzkiego dostarczył mi materiały w formie notatek kilkunastu lat. Zainteresowałem się nimi, ponieważ dotyczyły polskości ziemi nadodrzańskiej, opracowałem czy nawet napisałem na tej podstawie legendy i tak powstała ta książka. Baśń „W Babimost” pochodzi z czasów najazdów szwedzkich, kiedy kobiety skryły się pod mostem, by nie być zgłodzone. Udowodniłem, że nazwa ta pochodzi z lat wcześniejszych.

Ziemie zachodnie interesowały mnie jeszcze w latach przedwojennych. W Inowrocławiu dużo się mówiło o polskiej tradycji Nadodrza, Śląska, czytaliśmy nieliczne wtedy opracowania na ten temat, zetknąłem się z nauczycielką polską, która pracowała w Dąbrowce czy którymś Kramsku, znałem prace Księcia lewskiego. Stąd pisanie baśni lubuskich sprawiło mi przyjemność i nie było czymś nowym, trudnym, wymagającym szperania w dokumentach.

— Zbiór „O krasnoludkach...” ukazał się w ogromnym, jak na ówczesne czasy, na kładzie, bo aż 40 tysięcy egzemplarzy. Dochód z jego sprzedaży, chyba 300 tysięcy złotych, był przeznaczony na budowę stacji telewizyjnej w Jemiołowie.

— W latach pięćdziesiątych pisał pan m.in. scenariusze widowisk wniobranio wych.

— Napisałem m.in. sztukę związaną z Winobranem, którą dyrektor Koczanowicz obiecywał wystawić w Teatrze Ziemi Lubuskiej. Potem pisałem słuchowis-

ka nadawane w programie lokalnym i centralnym Polskiego Radia.

— Jest pan autorem powieści „Ucieczka w jutro”.

— W 1966 r. postanowiłem, że muszę pokazać skomplikowane losy ludzi okaleczonych przez wojnę. Tak się działo, że wielu ludziom związanym z AK po wojnie wyrządzono krzywdę. M.in. ktoś donosił, że ja miałem być dowódcą w Sulechowskim i Zielonogórskim, bzdura! ja, szeregowiec AK? Po licznych korektach i poprawkach powieść się ukazała, została sprzedana w całość.

— Wiele pana opowiadań ukazało się w antologiach i almanachach literackich. Dotąd jednak nie udało się panu wydać samodzielnego tomu opowiadań.

— Piszę. Będą to opowiadania stare, już drukowane w publikacjach zbiorowych, a także nowe.

— A powieść?

— Przygotowuję powieść historyczną. Akcja jej dzieje się na przełomie wieków XV i XVI w Zielonej Górze i księstwie głogowskim. Wtedy cały Śląsk należał do Czechów, królem czeskim, a następnie węgierskim był syn Kazimierza Jagiellończyka — Władysław. On swoim braciom stworzył funkcję namiestników na ziemiach śląskich. Zlecił im Jan Olbracht, który rządził za pośrednictwem swego podwładnego. Natomiast bardzo dobrze zapisał się w historii Śląska i Łużyce Zygmunt. Był on tym, który zaprowadził porządek na tej ziemi. Ludność śląska, kiedy został powołany na tron polski, żegnała go z żalem. Właśnie o tym będzie moja powieść.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał ALFRED SIATECKI

— PRZESTAJE JUŻ WIERZYĆ W POMYSŁNE ZAKOŃCZENIE CAŁEJ TEJ AFERY — MÓWI RENATA K. W TONIE JEJ WYPOWIEDZI DOMINUJE REZYGNACJA I ROZCZAROWANIE. Maż Renaty K. nie potrafi mówić o sprawie ze spokojem, przerzuca sterty dokumentów w poszukiwaniu tego właściwego, który ma potwierdzić jego prawdziwość. Papiery leżą na stole, szafce, te mniej ważne trafiają na podłogę. Trzyletni syn Jacka K. przygląda się początkom na dokumentach. Zainteresowana jest chwilowo, surowe zakazy i łaskawe zezwolenia, produkt urzędniczych głów, deptany jest stopami dziecka, jak rzecz bez żadnego znaczenia.

Początek całej sprawy miał miejsce w 1983 roku. Wtedy to Mirosław G. decyzją Urzędu Miejskiego w Zielonej Górze otrzymał zezwolenie na adaptację strychu na mieszkanie. Zanim zapadła ta decyzja Mirosław G. musiał załatwić kilka wymaganych w takich przypadkach formalności: podpisać z Zakładem Gospodarki Mieszkaniowej wstępne porozumienie o adaptacji, zlecić opracowanie dokumentacji technicznej, złożyć dokumentację w Zakładzie Gospodarki Mieszkaniowej, uzyskać pisemną zgodę mieszkańców budynku, w którym miała być dokonana adaptacja strychu. Lokatorzy budynku przy ulicy Zakręt złożyli swoje podpisy pod formularzem następującej treści: „Oświadczam, że wyrażam zgodę na przejęcie części strychu przez ob. Mirosława G. w celu adaptacji na mieszkanie. Ponadto stwierdzam, że zostałem po informowany, jaką powierzchnię ma zajmować to mieszkanie” (...). Jeden z mieszkańców odmówił złożenia swojego podpisu. Oświadczenie podpisywano w kwiecień 83 roku. Komitet Osiedlowy nr 2 pismem z 3 sierpnia 83 roku również wyraził swoją zgodę na adaptację strychu w budynku przy ulicy Zakręt; na do kumencie widnieją dwie pieczętki, dwa podpisy i formuła: powyższa decyzja jest ostateczna. W zasadzie po otrzymaniu decyzji Urzędu Miejskiego z dnia 26 września, zezwalającej na przebudowę strychu i upływie ustawowych dwóch tygodni na ewentualne odwołania zainteresowanych stron, Mirosław G. powinien bez przeszkód zrealizować swój zamiar. Decyzja Urzędu Miejskiego opatrzona jest dwoma pieczętkami (jedną z upoważnienia Prezydenta Miasta) i jednym podpisem.

Mirosław G. nie przystąpił do adaptacji strychu, gdyż zmienił swoje uprzednie zamiary i postanowił rozpocząć budowę domu. Strychem zainteresował się Jacek K., który w tym czasie powrócił z wojska. Jako nie posiadający własnego mieszkania, młody małżonek i ojciec, spełniał warunki konieczne do otrzymania zezwolenia na adaptację strychu. Z punktu formalnego nie się nie zmieniło poza nazwiskiem zainteresowanej osoby. Projekt przebudowy zmienił właściciela, Urząd Miejski w Zielonej Górze 7 maja 1984 roku udzielił Jackowi K. zezwolenia (pieczętki i podpis jak wyżej). Do momentu otrzymania zezwolenia Jacek K. wydał około trzydziestu tysięcy złotych (koszt projektu i opłat skarbowych), na strychu wymienił tylko zamek w drzwiach, przekazując duplikat klucza jednej z lokatorek, aby w ten sposób umożliwić mieszkańcom budynku korzystanie z suszarni.

Przepisy prawne „regulujące” (?) problem adaptacji strychów przewidują, iż zainteresowany dokonuje przebudowy na koszt własny, a uzyskane w ten sposób mieszkanie pozostaje własnością PGKiM. W przypadku korzystnego wyniku przedsięwzięcia młode małżeństwo poddaje się wszelkim niezbędnym kosztom, a tym samym kolejką czekających na mieszkania skróciłaby się o jedną rodzinę. Chociaż jedna „słuszna akcja” osiągnęłaby swój pożądany skutek przy

nosząc: satysfakcję z wykonanej pracy i mieszkania, chwałę urzędowi i mieszkańcom budynku przy ulicy Zakręt. Ale tak się nie stało. W sześć tygodni po otrzymaniu pozytywnej decyzji Urzędu Miejskiego Jacek K. dostaje pismo Urzędu Wojewódzkiego wzywające na wizję lokalką z udziałem lokatorów, inwestora (Jacka K.) i rzeczoznawcy. W piśmie na pomyślnie o bliżej nieokreślonych skargach mieszkańców z ulicy Zakręt. Na do kumencie widnieją dwie pieczętki, jeden podpis i dwa nazwiska lokatorów, którzy wcześniej złożyli swoje podpisy na oświadczeniu przedłożonym przez Mirosława G. Już to jest interesujące, że skargę składali ci, którzy wcześniej wy-

wstrzymali robót na strychu. „W temacie” wydawania decyzji widoczny jest postęp — druk jest mniejszy o połowę od poprzednich.

Ryszard A. działa: układa listy i podania, fotografuje strych, nasyła kontrolę IRCh — jednym słowem, jak może, umila życie byłemu koledze.

Jacek K. traci pieniądze, nerwy i czas. pisze skargę do PZPR. W tym czasie UM zmienia negatywną decyzję. Decyzja pozytywna dla Jacka K. nosi datę 13 listopada, ale już 21 grudnia UM ponownie poleca wstrzymać roboty budowlane. Swoją decyzję uzasadnia wniesieniem odwołania przez mieszkańców budynku.

Strych jak twierdza

Piotr Piotrowski

razili pisemną zgodę na adaptację strychu, a nie lokator, który odmówił złożenia podpisu — ale ten ujawni się w dalszej części relacji.

Dochodzi do wizji lokalnej, która nie wnosi do sprawy żadnych sensacji. Decyzją Urzędu Wojewódzkiego uchyla się zezwolenie na przebudowę strychu. W uzasadnieniu wymieniono cztery warunki, które musi spełnić zainteresowany, aby negatywną decyzję zmieniono. Na do kumencie widnieją dwie pieczętki i jeden podpis, na końcu sentencja: powyższa decyzja jest ostateczna. Pismo otrzymują: Jacek K., UM i PGKiM w Zielonej Górze. Tak w tym, jak i w poprzednich przypadkach lokatorów z budynku przy ul. Zakręt nie traktuje się jako stronę w sprawie. Ani jeden z lokatorów nie jest właścicielem mieszkania.

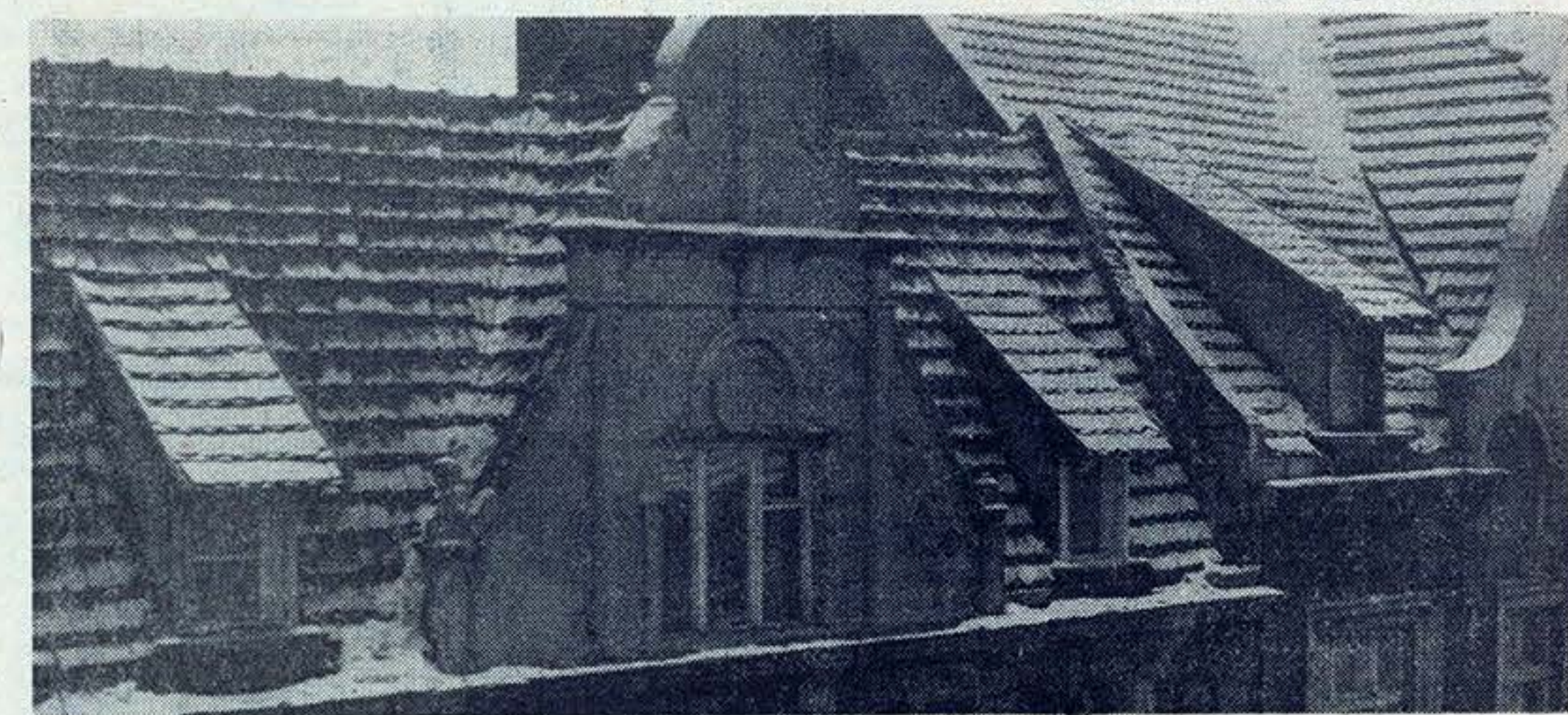
Jacek K. spełnił wymagane w dokumencie UW warunki i tym samym 3 września 1984 roku otrzymuje z UM ponowne zezwolenie na wykonywanie robót.

W czasie prac spotyka się z przychylnością lub też obojętnością lokatorów i z utrudnieniami oraz inwektywami ze strony jednego z nich, ob. Z.A. i jego syna. Z.A. jest tym, który nie złożył swojego podpisu na oświadczeniu i nie wyraził zgody na przejęcie części strychu przez nowego lokatora. Syn Z.A., Ryszard A., jest byłym kolegą ze studiów Jacka K., pedagogiem z wykształcenia. Ryszard A. wspólnie z Jackiem K. uczestniczyli w rajdach i uczelnianych imprezach.

— Ryszard znał też dobrze moją żonę — mówi Jacek K. — razem z nami studiowała jego żona. Od czasu sprawy z tym strychem jesteśmy na „pani”, a czasem przedstawiamy się na mniej konwencjonalne formy. Od pewnego czasu chodzę na budowę z potencjalnym świadkiem. Któregoś dnia nie mogłem otworzyć drzwi na strych — ktoś uszkodził zamek wypychając do niego zapalki. Dzieci... Najdelikatniejszy ze zwróć, jakie usłyszałem, to był „Ty ch... i tak tu nie zamieszkaż...”

Sprawa toczy się dalej — z sąmakaż zawziętością trwa walka na odwołania.

26 września 1984 roku, UM powołując się na skargi mieszkańców inkryminowanego budynku, wydaje decyzję o



22 grudnia Jacek K. składa w UM odwołanie od decyzji Urzędu.

Krażą pisma, osoby na poważnych stanowiskach szafują swoimi pieczętkami i podpisami. Sprawa nabiera groteskowego wymiaru — dwie osoby za pośrednictwem urzędników odbijają pieczęć swoich racji, z tym, że jedna z osób gra za pleców podstawionych zawodników, ale za to pod szczytnym szyldem równości i sprawiedliwości społecznej. Również nastąpi wtedy, gdy nikt nie dostanie strychu.

5 lutego 1985 roku UW wydaje decyzję o przekazaniu sprawy do ponownego rozpatrzenia przez organ I-iej instancji. W obszernym uzasadnieniu powołuje się na pretensje mieszkańców, że mieszkanie Jacka K. ma zajmować zbyt dużą powierzchnię, że rodzina Jacka K. buduje na strychu rezydencję, na co żaden uczciwy obywatel nie może wyrazić zgody. W jednym punkcie tych żaliwych wyjaśnień wszyscy są zgodni: „Za budowę strychów wynika z uzasadnionych potrzeb młodych rodzin. Występuję tu zatem słuszny interes społeczny”. Ikonat?

zawrotnym! (...) Zrozumiałem, że obywatelom A. chodzi o całkowite niedopuszczenie do realizowania budowy. (...) Kto zwróci mi koszty poniesione w wyniku zniszczenia 90 proc. materiałów budowlanych? Jest to niebagatelną dla mojej rodziny kwota ok. 350 tys.!

Czekając na wyrok w mojej sprawie proszę o pomoc, wierząc, że PRON jest organizacją kompetentną.

PRON nie udziela żadnej odpowiedzi na pismo Jacka K. — może ma to jakiś związek z działalnością w tej organizacji Ryszarda A.?

UW pismem z czerwca 1985 roku utrzymuje decyzję zezwalającą na przebudowę strychu. Wyczerpujące uzasadnienie i oddalenie wszelkich pretensji lokatorów powinno zakończyć sprawę. Ale tak się nie dzieje. Mieszkańcy budynku przy ulicy Zakręt (czytaj: Ryszard A.) zaskarżają decyzję Urzędu Wojewódzkiego w

Naczelnym Sądzie Administracyjnym w Warszawie, Osrodek Zamiejscowy w Poznaniu. Jednocześnie Ryszard A. składa wniosek w UM żądając wstrzymania robót na strychu.

Jacek K. próbuje nadgonić stracony czas, a jednocześnie przygotowuje się do odparcia nowych ataków.

W sierpniu 1985 roku Jacek K. wnosi pozew do Sądu Rejonowego w Zielonej Górze przeciwko Wydziałowi Planowania Przestrzennego, Urbanistyki i Architektury Urzędu Miejskiego w Zielonej Górze, w którym zaskarża wcześniejsze decyzje o wstrzymaniu robót. W uzasadnieniu przedstawia koszt zniszczonych materiałów i koszt wykonania podciągu pod krokwie.

Mecz trwa. Lokatorzy, mimo wniesienia sprawy do Naczelnego Sądu Administracyjnego, starają się za wszelką cenę wstrzymać prace. Wreszcie udaje im się dopiąć swego. Decyzją UW prace zostają wstrzymane.

Sąd w Poznaniu wydał wyrok korzystny dla Jacka K. Sam zainteresowany na rozprawie nie pojechał i do dzisiejszego dnia nie otrzymał pisemnej decyzji w tej sprawie. Jackowi K. nie pozwoliła pojechać do Poznania jego żona: „Zdrowie nerwy są ważniejsze, niż sprawa w sądzie, a ty i tak masz już dość”. Na rozprawę udał się pełnomocnik Jacka K. Ryszard A. zjawił się w Poznaniu obojętnie, ale sąd niechętnie słuchał jego mało konkretnych argumentów.

Fot. KRZYSZTOF MEZYNSKI

Mimo pozytywnego wyroku nie wiem, czy budowa nie została wstrzymana w czasie pisania tego tekstu. Do momentu ukazania się go w druku może jeszcze zapaść kilka sprzecznych decyzji.

— Zjemy jak w poczekalni — mówi Renata K. — Obecnie mieszkamy w wynajętym mieszkaniu, choć słono za nie płacimy, zawsze to jest jakiś niezależność, zresztą ani mój, ani Jacka rodzice nie mają warunków odpowiednich na przyjęcie trzech dodatkowych osób. Nie stety, umowa z właścicielem mieszkania kończy się nam w sierpniu tego roku. — Główny lokator wraca z granicy. Nie wierzę, że do sierpnia coś wywalczymy.

— Gdybym na wiosnę wszedł z ekipą budowlaną, to od sierpnia strych byłby do zamieszkania — ciągle nie może ukryć emocji Jacek K.

W roku 1914, tuż przed wybuchem I wojny światowej, ojciec zabrał ją z Drezna, przywiózł do Kutna i umieścił na pensji pani Jelskiej. Potem przenieśli się do Torunia, gdzie kończyła gimnazjum humanistyczne. Na pensji dziewczęta, poza przedmiotami szkolnymi, uczyły się dobrych manier, francuskiego, gry na fortepianie i haftu. Haftuje do dziś, to jej pozostało. Kiedy przed paru laty leżała w szpitalu, nauczyła haftować wszystkie pacjentki, nawet jedną z rozrusznikiem w sercu. Przeszły jeść i ślekać, wzięły się do igły, przygotowały gazetkę ścienną i laurki dla lekarzy na Dzień Kobiet. Złożyły petycję do ordynatora, aby pani Lubicz nie wypuszczono z oddziału przed 8 marca. Nie umiał być bierna, apatyczna, sama nie poddaje się i umie podnieść innych na duchu, taka już jest.

Ojciec ubóstwiał, wszystko dobre ma po nim. Kochał konie, ona też, kochał psy, ona też. Mówił: patrz na tego konika, ja do niego się zwracam, a on nadstawia uszu. Albo: spójrz na tego szczeniaka, jaki mądry choć jeszcze mały, robi co mu każe, dzieci też powinny słuchać starszych, jak ten piesek, pa miętaj, kto kocha zwierzęta i przyrodę, ten kocha ludzi. Minęło kilkadziesiąt lat, a ona wciąż słyszy ojcowskie słowa i wskazówki. Był surowy prawie jak babcia, ale też surowe były czasy — wojna, kłopoty. Powiedział: chcesz być aktorką, to sobie bądź, lecz miej przy tym solidny zawód. W ten sposób po wyjściu z gimnazjum znalazła się w szkole handlowej. Ukończyła ją chlubnie, a w nagrodę otrzymała posadę w kancelarii wojewody, z niezłą pensją i widokami na urzędniczą karierę, ku wielkiej radości rodziców, którzy robili wszystko, by przestała myśleć o scenie. Ale natura ciągnie wilka do lasu. W 1925 roku 15 grudnia stanęła przed komisją państwową, złożyła egzamin eksternistyczny i zaangażowała się w Teatr Miejski w Toruniu.

Grała z radością i zapalem wszystko, co jej zaproponowano, szczęśliwa, roztańczona, rozśpiewana. Lubiła postacie charakterystyczne, których pojawienie się wzbudzało na widowni śmiech albo łzy. Drobna, ze szczupłą buzią, umiała całe wszystko — od szpagatu po stanie na głowie, mogła grywać także chłopców. Przyjeżdżali reżyserzy z Poznania i przy udziale aktorów toruńskich organizowali przedstawienia operetkowe. W rezultacie tych paroletnich kontaktów, przeniosła się w 1935 roku do operetki objazdowej w Poznaniu. Rozjaśnia się, gdy wspomina ten okres. Z operetką jeździło się po całym kraju. W autobusie ustalano, czyje to miasto — bo wszędzie ktoś kogoś miał — znajomych, wielbicieli, przyjaciół. Co wieczór okłaski, kwiaty, bisy, potem spotkania, kolacje, dobre czasy. Przed wojną teatry nie miały subwencji i musiały utrzymywać się same, więc grzano sztukę wyłącznie pod publiczność — ko medię, dramaty, farsy. Dyrektor był za razem aktorem, reżyserem, kierownikiem gospodarczym, czasem też kasjerem, kierownikiem tramwajowym i bileterem, to była cała administracja, co wydaje się dzisiaj dziwne.

Zagrała w osiemnastu operetkach, m.in. „Hrabia uchemburg”, „Wesela wdówka”, „Rozwódka” i innych. Pozostały afisze, programy, recenzje i zdjęcia w albumach tak piękne, że nie do wiary. Albumy, jest ich dwadzieścia lub więcej. Gdyby nagle ożyły te wszystkie postacie zastygłe w ruchu na fotografiach i mieszkające przy ulicy Sucharskiego w Zielonej Górze wypełnił tłum w kolorowych kostiumach? Małenka Halina, pięć lub sześćdziesiąt lat, w leżance, w kuzynce, w tańcach hiszpańskich, obok niej dorosła, już pełna wdzięku aktorka w co najmniej kilkunastu różnych wcieleniach! „Mary-

na” w „Szelmostwie Skapena”, odaliska w „Bajaderze”, egzotyczna piękność w rewii „Słońce nad Tahiti”, Grzymiskowa w „Romansie z wodewilu”, Anna w „Szkłance wody”, niania w „Wuju szku Wani”. Była królową i majstrówką, matką w „Żywocie Józefa” i siostrą w „Dziejach grzechu”, mieszczką w „Dniach Komuny” i sąsiadką w „Czarującej szewcowej”, starą Japonką i młodą gejszą w „Herbaciarni pod sierpniowym księżycem”. Była matką złą i matką dobrą, grała wieśniaczkę i hrabinię, pielęgniarzkę i damę z półświatka, stróżkę i baronową, od Sofoklesa, Fredy, Słowackiego — poprzez Straussa, Lehara i Kalmana — do Schillera, Wyspiańskiego, Witkiewicza, Żeromskiego, Kruczkowskiego, Dürrenmatta. W samej tylko Zielonej Górze ponad pięćdziesiąt ról. Dwa razy zagrała niewidomą: w „Balladynie” i „Zamieci”, był to przypadek, rzecz jasna. O jednej scenie utraconej na zdjęciu chce wspomnieć: oto Halina Lubicz w sztuce Nikorowi-

wiającym innym starym ludziom, w domach opieki, szpitalach. Teraz pohoło wale się i pewnie nie przyjdą nawet za śpiewać „sto lat” swej kierownicze.

Jak żyć godnie, twórczo i ciekawie? Pani Halina mówi, że człowiek idąc przez życie powinien jak najwcześniej stworzyć sobie „dyskocznik”, jedną lub dwie — trzy, od życia rodzinnego, od pracy zawodowej, mieć coś jeszcze poza tym. Dokładnie to samo, tylko inaczej, usłyszałam niedawno od pani prof. Jakowickiej, więc wzorczem potwierdzony, bierzcie i naśladowcie, młodzie! Było tak: w teatrze próby i przedstawienia, a w domu — mieszkała wtedy na Półwiejskiej w Poznaniu — mały Ryś. Mimo to potrzebowała jeszcze czegoś więcej, brała opiekę nad zespołami amatorskimi, reżyserię przedstawień dla dzieci, po wyzwoleniu angażowała się w prace społeczne w Lidze Kobiet i innych organizacjach, a wreszcie przed 35 laty trafiła do Związku Niewidomych. Za dokonania wśród niewido-

wał wierszowane sztuczki.

Ryś jest jednym z trzech mężczyzn, którzy odegrali rolę w jej życiu. Zawzięty, dzielny i samodzielny, zaradny, odpowiedzialny, te cechy ma po mamie. Przetrawił azem z nią koszmarny okres okupacji, gdy pracowała jako sprzątaczką i palaczką w czternastopokojowym biurze niemieckiej firmy budowlanej. Pieczę dymyły, węgiel nie chciał się palić, każdy pyłek znalazł się gdzieś w powietrzu, najbardziej — Mein Gott — przed portretem Führera, groził najgorszymi karami. Ale trzeba było z tego żyć! Są w albumach zdjęcia Ryś: w pielu chach, mundurku harcerskim oraz podczas pierwszych jego kontaktów ze sztu ką — przy fortepianie i statucach. Uśmiechnięty, młodzieńki student: „Kochałem mamusi w roku dyplomowym 1955 — Ryś”. I już wkrótce aktor dwójką imion i nazwisk Henryk Zuchowski albo Ryszard Zarewicz, na scenach Teatrów Powszechnego i Muzycznego w Łodzi, jako hrabia „Cambridge” w „Henryku V” Szekspira, profesor Willard w sztuce Wildera „Nasze miasto”, prokurator w „Świętej Joannie” Shawa, Harry w „My Fair Lady”, Cesarz w „Krysi Leśniczance”, kapitan Tietriumow w „Róży wiatrów”, Ferri w „Księżniczce czardasza” oraz w wielu innych rolach tańczonych i śpiewanych. Są też dwa mali wnuczki — Wojtuś i Piotr, oto list jednego z nich napisany w 1985 roku: „Kochana babciu Lubicz i wujku Michał, dziękuję za list, mam b. mile badania, bo na ul. Spornej w szpitalu mam czasem przyjemność, polegającą na jeżdżeniu na rowerze treningowym i muszę jechać 60 obrotów na minutę. Czuje mocno JOT-23”. Ryś, choć to zabawne nazywać tak imię w wieku dość nobiliowym — urodził się w 1929 roku, jest aktorem i reżyserem w Operetce Lubelskiej, stale coś tworzy, pisze, ma swoje pasje.

Drugi z kolei mężczyzna pani Haliny, to Józef Kirschke. Chciał być aktorem, miał wielki talent komediowy, był wprost urodzonym komikiem. Zagrał parę ról i przygotowywał się powoli do egzaminu eksternistycznego, ale brakowało mu może trochę odwagi i w międzyczasie pracował jako impresario w operetce. Poznali się, zaręczyli, ale będąc stale w rozjazdach, nie mieli czasu na ślub. Aż 29 sierpnia 1939 roku wzięto go, już w ostatniej mobilizacji, do wojska. Wrócił w 1944 roku, rozbity, z chorymi nerkami, bez zębów, rozpoczął po prostu! Pobrali się w rok później, już po wyzwoleniu. Jeśli można mówić o harmonii i zgodzie między mężczyzną i kobietą, o zrozumieniu i poszanowaniu własnych ambicji i zainteresowań, o wzajemnym uzupełnianiu się, to takie właśnie było małżeństwo Kirschke. Był człowiekiem prawnym, szlachetnym, wrażliwym, nadzwyczaj lubianym. Odszedł z wcześniej, mógł żyć do dziś i cieszyć się wraz z nią sukcesami Michała, miałby zaledwie 83 lata! Pozostawił mnóstwo listów napisanych do niego przez znanych ludzi sceny i estrady, są wśród nich m.in. listy Violety Villas pisane z Paryża i Las Vegas i obszerne dedykacje skreślone ręką Ludwika Solskiego.

Trzeci mężczyzna, to Michał, dziesięć lat młodszy, doktor, literat z liczącym się w kraju dorobkiem autorskim, człowiek, który pokonał siebie tak, jakim był, nim poznał Halinę Lubicz. Walczył ze sobą i swym nieśczęściem — i zwyciężył. Ciężne szkła okularów, nieobecność rąk. Ciężki uśmiech, poczucie własnej wartości. I pełny udział w otaczającym go świecie, znajomość zjawisk, uczestnictwo w wydarzeniach! Ludzie dziwią się: jak ona tego dokonała, ta Lubiczowa?

— To nie ja — mówi pani Halina i poprawia się: to nie tylko ja, nie było zamierzone i z góry zaplanowane, przeciwnie, wszystko tu było eksperymentem, siedemnastu niewidomych trze ba było wydobyc z depresji, przy nich też i Michała, nie by się nie udało, gdy

by miał inną rodzinę, ale Kaziówowie — oni okazali się nadzwyczajni, pełni tak tu, zrozumienia, umiaru, cierpliwości, wytrwałości, wreszcie wiary i nadziei, jak on sam!

Zdjęcia w albumie: Michał jako uczeń, Michał jako student, w 1954 roku podczas czytania Braille'a górna warga, maszerujący z panią Haliną na konkurs recytatorski. Jego rodzice Tekla i Jan, ukochana siostra Marysia z córeczkami Wiesią i Halinką, którym imiona nadano na cześć pani Lubicz i jej synowej. Waka cje w Ustroniu w 1960 roku: Halina u czy Michała pływającego na brzegu Józio woła „uwaga! bo go utopisz”, a tymcza sem fotograf tak się zagapił, że wpadł do wody! Urlop w Bogaczowie, wszyscy razem roześmiani — Kaziówowie, Lubiczowie-Kirschke i Zuchowscy z dziećmi i wnukami. Matka Haliny z Michałem, matka Michała z Rysiem, Józio z córeczkami Marysi, żona Ryśa z ojcem Michała. Rodzina.

Kiedy się topił w Popradzie, zawołał „mamo” i tak już zostało. Dopóki żyła prawdziwa, ta z Bogaczowa, miała dwie matki, teraz ma tylko jedną mamę Lubicz. Jest ona pierwszym krytykiem jej go publikacji, których przecież nie pisze, on je dyktuje lub nagrywa na taśmę, a mama Lubicz potem musi przepisać. Z okresu nauki Michała, jak po sztuce która zeszła z afisza, zostały rek wizyty: tablice, mapy, zrobione własnoręcznie przez mamę Lubicz, z ponakle janych na papier maleńkich kawałeczków materiału i wypukłych nitek, aby można było wyczuć kontury, dotykając je wargą. Gdy się na to patrzy, coś ścis ka w gardle.

Mówię o złotym wieku, późnej jesieni, zasłużonym odpoczynku. „Wesołe jest życie staruszka” — śpiewał Kabaret Starszych Panów. Wszystko to jest grzecznym, lecz wyjątkowo obłudnym kłamstwem, wymyślonym dla uspokojenia sumienia ludzi młodych. Starość jest zła, zabiera zdrowie i urodę, wszystko psuje, zmienia człowieka, oddala go od innych, tak myślę ja — i pytam: jak postępować, jaką przyjąć zasadę, jaki wybrać sposób egzystencji, aby zła godzić ten zły czas, gdy nadejdzie? Pani Halina zamysla się, widzę, że nie całkiem się ze mną zgadza, a po chwili mó wi mi tak: — Ludzie na ogół starzeją się w smutku, bez radości życia, bo nie chcą tej radości dostrzegać, ani cokolwiek się cieszyć, ani cokolwiek się zająć, wyolbrzymiają choroby, zamiast im się przeciwstawiać, tymczasem ze starością trzeba walczyć jak z każdym złem, mniej myśleć o sobie, więcej o innych, stworzyć sobie za wcza su sytuację, w której będzie się potrzeb nym.

Pytają ja, co to jest szczęście. Otóż uważa ona, że nie ma jednego stanu szczęśliwości, wszechobejmującego czło wieka, natomiast są różne małe szczęścia, które można niezależnie od innych przeżywać, odczuwać, doznawać ich. Te raz szczęściem dla niej są osiągnięcia Michała. Pytają, co robi, że tak świetnie się trzyma? Odpowiada, że od trzy dziestu lat nie przygląda się sobie w lustrze i nie przejmując się, że przybyło jej nowych zmarszczek czy siwych włosów.

Mając wiele godności i wysokich od znaczeń, pozostała osobą nadzwyczaj skromną. Dziennikarce z NRD, która ze łzami w oczach wyrażała podziw dla wspaniałej działalności pani Haliny i jej poświęcenia się niewidomym, powie działał wprost: nie róbcie ze mnie świętej! I tymi słowami kończyła zapisywać ostatnią z karetek, z przekonaniem, że teraz dopiero powinnam zacząć na nowo tę historię, o mądrości, wielkim sercu i niezmiernie miłej osobowości do innych ludzi...

HALINA AŃSKA

Nie róbcie ze mnie świętej



Fot. CZESŁAW LUNIEWICZ

cza „W gołębniku”, w Teatrze Żołnierskim w Toruniu w 1928 roku, obok niej aktor Mehler. Po wielu latach jego syn robił z nią w telewizji program „Charaktery”. Parę razy w naszym teatrze reżyserowała; największą satysfakcją dała jej „Ania z Zielonego Wzgórza”, to przedstawienie wspomina się do dziś.

W 1972 roku Halina Lubicz zagrała po raz ostatni — była to rola Raisy Aleksandrowny w sztuce Arbusowa „Ten miły, mały dom” — i z tała emerytką. W dwa lata później wystąpiła jeszcze w teatrze „Forum” Ludwiny Nowickiej, w „Matce” Gorkiego. Uwielbia pracę z amatorami, ma teraz chór seniorów. Trzeba widzieć ile radości sprawia im śpiewanie i ile radości one spra

mich powinna otrzymać wszystkie order y i odznaki.

Wiosną 1939 roku dyrektor operetki zalegał z nią i paru aktorów odeszło, ona też. W „rodku sezonu trudno było o pracę w teatrze, więc z myślą, że to na krótki czas, przyjechała oferowaną jej przez Inspektorat Oświaty funkcję instruktora teatru młodzieżowego. Na dzień 1 września wyznaczona była premiera, ale zamiast na scenę, zespół trafił do schronu. Budynek zajęło niemieckie wojsko. Udało się jej wynieść lalki i ukryć je w domu, a po jakimś czasie potajemnie, w mieszkaniu pana Baranka — dziadka obecnej piosenkarki Urszuli Sipińskiej, organizować przedstawienia dla dzieci. Bardzo pożyteczny

dzie mu się „przebraniżować” w tak-sówkarza.

Zresztą, jeszcze za wczesnego Gierka, piekarnictwo było w przypieku. Kilo chleba kosztowało niemal tyle, co kilo maki. Szacunek do zawodu był, ale tani...

— Kiedy wreszcie dostałem przydział na tę piekarnię po Mizgalskim, kiedy wiedziałem, że zrobię tu porządek, duży zakład, wtedy akurat wydało się, że nie poradzę sięgnąć synów do piekarni. Każdy z nich miał już jakiś zawód. Przyzwyczajony do Weterynary, nauczyciel, technik dentystyczny. Panie, czy ja ich źle wyuczyłem? W gazetach pisały, że to fachowcy z deficytowych zawodów. Chciałem, żeby tu przyszli, ale nie namawiałem. Sami wrócili. Teraz jeszcze tylko dwa lata popracuję, wyuczę Tomka i... fajrąnt. W piekarni robię od 1945 r. Już się w swoim życiu dość napracowałem.

Stanisław Rzepka nie udaje biedaka. Stać go teraz na dostatnie życie. Tylko, że z tych możliwości już mu się nie chce korzystać. To już nie wiek na szaleństwo. To już wiek bardziej stosowny do sanatorium. A tam nieniadze się wydaje nie na szaleństwo, lecz na naprawy. Zeszlazłszy ceny dodatkowych zabiegów hydroleczniczych i masażu wyleza pani Czesława, małżonka Stanisława Rzepki.

Nie, nie będziemy rozmawiać o forsie. Mistrz Rzepka płaci solidnie solidne podatki. To jest jego legitymacja. Tak, jak ta piekarnia, w której jeszcze trzeba sporo zainwestować. Najbliższym wydatkiem będzie zapłata za założenie instalacji gazowej. Przynajmniej 300 tysięcy.

Rzepkowie jednak mają dwie piekarnie w Zielonej Górze. We wrześniu, po remoncie, otworzył swój zakład Marek. Już samodzielnie. Na ulicy Sienkiewicza. Dawniej piekł tam chleb Baranowski. Oczywiście, i w tym przedsiębiorstwie synowi pomagał ojciec. Teraz za sam postawienie pieca facet z Katowic bierze ponad milion złotych. I na rzecz, że podobno stawia dobrze.

Dzień pracy Marka, od rana, wygląda dokładnie tak: — O siódmej wyjeżdżam z piekarni do domu i odprowadzam dziecko do szkoły. Kolo wpół do dziesiątej jestem z powrotem. Trochę pomagam żonie i po godzinie jadę ponownie do domu. Trzy godziny snu. O dziesiętej wieczorem staję przy bajcie.

Co by nie powiedzieć, nie jest to normalna dniówka. Bajt, stół piekarski jest szeroki i można śmiało się o niego opierać. Ale tak o czwartej nad ranem, kiedy ma rzeczywiście dosyć, Marek wyskakuje do sklepu, gdzie stygnie chleb. Gdzie pachnie chlebem. Chleb jak wspaniały film, jak mądra książka. To nie, że w tym wrażliwym jest trochę roman tyzmu i poezji.

Przez te parę chwil w sklepie poznaje się powszechnie zupełnie nieznaną właściwość chleba. W dużej uprzedmiotowionej piekarni, w sali, w której bochenki upycha się do plastikowych pojemników, chleb traci tę magiczną moc. Jest towarem. Artykułem spożywczym pierwszej potrzeby.

Chleb z piekarni Marka ma skazy. Sam piekarz o tym wie najlepiej. I nie

uspokaja go to, że pierwszego dnia, po otwarciu piekarni, sprzedawali chleb do godziny piętnastej, a po tygodniu żona zamylała sklep już o wpół do siódmej. Tak czy owak Marek Rzepka wie, że musi przestawić piec. Przy okazji można by zrobić trzecią komorę. Czyli — będzie musiał zgłosić się do tego magaika z Katowic. Rozbuduje swoją piekarnię.

Skazy na chlebie w piekarni młodego Rzepki wynikają też w pewnym sensie z tego, że obok jest pusta mieszkanie. Pomocnicy Marka noszą dzisiaj go racy chleb, przekakując przez podwórze. Tak nie wolno robić i Marek o tym wie doskonale. Jednak co z tego, skoro właściciel, czy raczej lokator tego mieszkania upiera się i czeka na konkretne propozycje. Bądźmy szczerzy, wszystko wskazuje na to, że gość czeka na odstępnę. I co tu robić? Dać czy nosić gorący chleb przez podwórze?

Stanisław Rzepka namawia syna, by poszedł do pani prezydent.

— Marek, idź do niej. To wspaniała kobieta. Po prostu — mądra baba. Konsekwentna, stanowcza. I widać, że na tym chlebie to jej zależy.

Ważne zdanie. Sami piekarze chwalać miejską władzę. To też jest komentarz. Prywatnych piekarni po raz pierwszy od wielu lat zaczyna w Zielonej Górze przybywać.

I nikomu to nie przeszkadza.

Bo to już tak jest: piekarnia gra, kiedy idzie chleb.

JERZY MISCHKE

CZYSTA ROBOTA

ciąg dalszy ze str. 1

dziwi również, gdy nagle o trzeciej nad ranem chłopak, też prawie jeszcze pęta, oświadcza kolegom, że zapisze się do Klubu Fantastyki.

Przy robieniu chleba rozmawia się o wszystkim, Nie mówi się o chlebie.

Chleb się piecze. Chleb się szanuje. Chleba się pilnuje. Właśnie trzeba zebrać ciasto, które zaczyna wyciekać z dzieży. Dokładnie, tak żeby nie się nie zmarnowało.

— Brakuje mi czasu na książki, kino, rybki. Na wszystko, co lubię. Żyję trochę jak robot. Wiem, intelektualnie odpadam. Nie ma kiedy zajrzeć do teatru, wpaść z żoną do przyjaciół. Było już tak, że półtoraroczny syn, jak brat — też Tomek, uciekał przede mną. Nie poznawał. Robota w piekarni, to nie jest wielkie szczęście. To nie jest taki miód.

Waldek Rzepka, jak jego ojciec i pewnie jak niejedni jeszcze piekarz, lubi nocą wejść na chwilę do sklepu. Sklep

nad ranem, tak o czwartej, wygląda jak kadr z pięknego filmu. Za oknem noc, świeci się jedna lampa na placu przed pocztą, a na półkach i ladzie stygnie chleb. Pachnie, blizszy, jest. Nie — leży, a jest. I nawet, kiedy zamknie się o czy, i nawet, kiedy się nie oddycha, on jest. Jest chleb.

— W tej jednej chwili ucieka zmęczenie. Wie pan, na mnie ten widok robi wrażenie.

Parę dni później Stanisław Rzepka, ojciec Waldeka, powie: — To jest wspaniałe uczucie. Nocą wpadam do sklepu po kilka razy. Tego nie potrafię sobie odmówić. Nie ma cudniejszego widoku.

Tak, chciał tego. Z trzech synów jeden marzył mu się w piekarni. Przynajmniej jeden. W końcu to nie jest wariacki pomysł. Piekarnie były, są i będą potrzebne. Bo czym można zastąpić chleb?

Jakiś osiem lat temu, kiedy niemal waliła się jego stara piekarnia, sypały się również jego marzenia o następcy. Marek pracował już wtedy w lecznicy weterynaryjnej, Waldek studiował, a Tomka nawet nie próbował namawiać. Sam obawiał się, że na stare lata przy

Nie znoszę głośno grającego radia. Odruchowo ściszę je nawet w obcym domu czy taksówce. Bo pracowałam w Polskim Radio blisko trzydzieści lat.

Zieloną Górę zobaczyłam w pierwszą sobotę października 1956 roku. Święto wala Winobranie. Ponury dworzec kolejowy. Tłumy ludzi na ulicach. Dekoracje, muzyka, beczki wina, wytoczone wzdłuż Alei Niepodległości. Jesienny karnawał, o którym dotąd słyszałam niewiele. W tamtych latach gody wina obchodzono się w centrum starówki, a widowisko historyczne aktorzy teatru rozgrywali w naturalnej scenie ratusza.

Przyjechałam załatwić pracę. Miesiąc wcześniej moja siostra przeniosła się z „Głosu Koszalińskiego” do „Gazety Zielonogórskiej”.

Długo szukałam ulicy Kukułczej. W starym parku — nieduża willa z kolumnami u wejścia. Miejsce ciche i śliczne, wymarzone dla takiej instytucji jak radio.

W budynku wrzało. Nadciągał polski Październik. W ciasnym pokoikach i korytarzach krążyła radiowa młodzież: Adam Wielowiejski, Leszek Zieliński, Janusz Weroniczak, Tadeusz Kajan, Tadeusz Podwysocki i chyba Tadeusz Jasiński. Sami mężczyźni. Wolni od samochodów, dach, ogródków, szmalu.

Redaktor naczelny Krzysztof Wójciewicz kipiał energią i radością życia. Krzychał do chłopców „wy kubiarsze” (kublić znaczyło tworzyć), wyrzucał za drzwi, ale nie pamiętał urazów i przyjaźnił się z żoną również prywatnie.

W gabinecie naczelnego rozmowa była krótka. Mam zacząć pracę 16 października.

Biurko, przy którym pozwolono mi usiąść, sąsiadowało z piecem: chowałam się za nim, kiedy grzał się naczelnik. Wechodząc do zawodu cichutko, na paluszkach, niepewna siebie. Zwłaszcza, że moje przeniesienie do Zielonej Góry było z ostrym zakretem historii. Wracając z Łorka. Wyrzucił go sekretarz KW w Zielonej Górze. Koledzy biegli do teatru na wieść rozliczeniową. Leszek rozwiązywał ZMP. Odwilił w polityce otworzył usta propagandzie. Nikt nie wiedział na jak długo.

Dzwonię do Adama Wielowiejskiego na Myśliwiecką. Tam od lat mieszczą się redakcje artystyczne, muzyczne, dziecięce warszawskiego radia. Redaktor Wielowiejski jest obecnie szefem redakcji reportażu programu IV-go. Dziesięć lat pracowałam w zielonogórskim radiu, ale wbrew obyczajowi środowiska, nie przeszliśmy „na ty”. Adam był moim pierwszym kierownikiem. Zostawił mi dużą swobodę, a w końcu i „stolek”.

— Panie Adamie — pytam — rozpoczął pan pracę w rozgłośni zielonogórskiej w 1954 roku?

— Tak, krzycząc Adam, bo słyszymy się nie najlepiej.

— Kto pana angażował?

— Szedlbauer.

— Do jakiej redakcji odszedł pan z Zielonogórek?

— Nie pamiętam.

Chwała Bogu. Nie ja jedna zapominałam o tylu rzeczach.

— Jak pan wspomina lata pięćdziesiąte?

— Wspaniale. To były czasy. Ludzie witali radiowców z otwartymi ramionami. Nie goniliśmy za wierszówką. O coś chodziło. Czegoś chcieliśmy dokonać. A przecież byliśmy mniej wykształceniem profesjonalni.

Kolorową postacią zielonogórskiego radia była Krystyna Matoszek. Przyjechała z Białegostoku w 1960 roku. Nie się gnęła po radiową technikę. Pozostała dziennikarką piszącą. Pisała dużo i dobrze. Była wolna i godziwie wysadywowała w Klubie Dziennikarza. Krystyna nosiła przy sobie kilka par pantofli, które zmieniała na długiej drodze od Rozgłośni do gazety. Znikła od stolika na chwilę, aby s'oczyć do... Poznania. Lu biliśmy Krystynę, pogodną, koleżeńską, wręcz po dziecięcemu ufającą ludziom. W roku 1966 zdarzyła się tragedia. Trzy dziennikarki, zamieszkane pośrednio w sprawie pewnego wypadku samochodowego musiały odejść. Krystyna także. Najmniej winna, zatem najbardziej skrzywdzona. Znalazła pracę w „Nowinach Rzeszowskich”. Została matką. Wzorowo prowadzi dom. Uprawia działkę. Nadal pisze.

Gertruda Fajger zjawiała się w Zielonej Górze w początkach 1961 roku. Wcześniej pracowała w gazecie, w Rzeszowie. Szybko opanowała odmienny warsztat twórcy, ale mistrzynią reportażu radiowego została dużo później. Spadły na nią obowiązki żony i matki. Zaprzyjaźniliśmy się na dobre, kiedy moją Dagmarą, a jej Jacek weszli w wiek szkolny.

Gerta odnalazła siebie w redakcji rolnej. Nie ukrywała, że jest dziewczyną ze wsi, nie „orabiała” sobie życiorysu. Ambitna, pracowita, zaradna, aż pazer na, żeby być dobrą, lepszą, najlepszą. Godziny, dni, lata przy stole montażowym. Dom — radio, radio — dom. A po drodze? Dziennikarstwo pozostaje alternatywą. Albo życie osobiste, albo kariery zawodowa. Oddać się bez rezerwy jednej miłości. Gercia potrafiła dzielić niepodzielnie. Zdobyła ponad 20 nagród ogólnopolskich i lokalnych. Cieszyła się zapracowaną na Krzyż Kawalerski.

Kiedy opadała nas chandra, a w górach szalał halny, szliśmy do „Filipinki”. W miejscu, gdzie za mojej pamięci rósł sad, stanęła kawiarnia. Jakby dla nas. Zamawialiśmy herbatę z rumem i

galaretkę. Nasze marne zarobki wytrzymywały takie wysoki.

Przechodząc służbowo z Zielonej Góry do Gorzowa powierzyłam przyjaciółce swoje osobiste archiwum najcenniejszych nagrań. Nie r' zeczuwałam, że w tak krótkim czasie Gertruda opuści Rozgłośnię Zieloną Górę, Polskę.

Latem 1981 roku Gertruda Łukaszewicz (wcześniej urzędowo zrezygnowała z panińskiego nazwiska, pod którym była znana w polskim dziennikarstwie) wyjechała z synem na wycieczkę do Austrii i nie powróciła do kraju. Później odleciała do Australii. Mieszka w Sydney. Pisze.

Nie wiedziałam ani o cichych przygotowaniach do emigracji, ani o samym fakcie: kiedy i dokąd. Widocznie są w przyjaźni granice nieprzekraczalne. Znam kilka powodów dramatycznej decyzji zdolnej dziennikarki, dalekich od polityki.

Ileż ptaków odleciało z gniazda na ulicy Kukułczej?

Mój pierwszy magnetofon „el dwa be” ważył 7 kilogramów. Dźwigałam go

Ale poważnie. Przekonałam się niejednokrotnie, że kobiecie łatwiej zdobyć materiał. Najbardziej gburowała się gura zawała się przed niegrzecznym splawieniem dziennikarza w spódnicy. To znaczy my chodziliśmy w długich spódnicach. To był szpan. Obecna generacja dziennikarek nosi głównie spodnie.

W myśl przysłowia „gdzie diabeł nie może” — zdobywałam wywiady u dostojników, którzy odmawiali nawet PAP-owcom.

27 września 1965 roku otwierano w Zielonej Górze Wyższą Szkołę Inżynierską. Drogę do niej gęsto wydeptali tak że dziennikarze. Otrzymałam misję. Nagrać wywiad z członkiem Biura Politycznego Zenonem Kliszką. Wcześniej odmówił rozmowy z dziennikarzami. Miał wystarczyć oficjalne wystąpienie. Prasa wystarczy, radiu — nie.

Uroczystość na sto fajerwerków przenosi się sprzed gmachu KW na teren nowej uczelni. Ministrów, redaktorzy, władze regionu. Wychodzę sama przed szpaler osobistości i czuję drżenie nog.

zawsze z mikrofonem

Barbara Obremska

całe lata po wykopach przyszłej huty „Głogów”, po „Stilonie”, po oborach, szpitalach, szkołach. Potem nadeszły lżejsze „węgry”, „ficordy”, dzisiaj są już japońskie „Sony”. Irena Linkiewicz nosi kilogramowy magnetofon, jak torbę.

Irena rozpoczęła pracę na etacie w roku 1975. Zdobyła sławę znakomitymi reportażami literackimi. Na konkursach zbiera pierwsze nagrody, jak grzyby. O tragicznej śmierci swego męża, dziennikarza „Gazety Lubuskiej”, mówi rzadko. Od tamtego dnia czas sypie się jak piasek między palcami, wyznała mi kiedyś.

W roku 1970 w Polsce kobiety stanowiły 45 procent ogółu dziennikarzy. Nie wiem, jaki był wtedy odsetek żurnalistek w regionie, ale jeśli nie wyższy, to z pewnością nie niższy.

Julian Tuwim twierdził, że kobiety piszące pomniejszają liczbę kobiet. Czy młodym dziennikarkom, a jest ich teraz wyjątkowo dużo w „Gazecie Lubuskiej”, można odmówić kobiecości i urody?

Warszawskie heroiny pióra na ogół ubierały się fatalnie (wyjątek stanowiła ekspremierowa). My z prowincji — przeciwnie. Lataliśmy do fryzjera, krawcowej. Konferencje prasowe zamieniałyśmy w rewie mody. Próżność? Giupota? Może...

Dziennikarstwo jest zawodem publicznym. Wielą wśród ludzi. Na konferencjach, zjazdach, sympozjach, panowie w białych koszulach, pod krawatem. Włóż jak tu — jś pod obstrzał tyłu spojrzeć w byle czym? A nagły wyjazd na obsługę z ministrem?

— Oj, towarzysko, krzychał z drugiego końca sali „białego domu” przy ulicy Westerplatte uroczysty dowcipnik sekretarz Artura Starewicza, Herbert Goldberg. Na wasz widok mam takie niepartijne myśli.

Śmiech zakłócił obrady.

Trzymam się mikrofonu, jak Pugaczowa, słomki.

— Towarzyszu sekretarzu, kobieta was atakuje — słyszę ściszone głos Tadeusza Wieczorka, pierwszego sekretarza KW w Zielonej Górze. Znamy się z nim dobrze, lubimy, chce mi pomóc.

Twarz dostojnika nie wroży pogody. Ale odpowiada na kilka pytań. Jest własny materiał na korespondencję do magazynu „Z kraju i ze świata”. Kolegom z prasy odtwarzam te kilka zdań.

Dziennikarz rozgłośni regionalnej liczy się wtedy, kiedy słycać go w programie ogólnopolskim. Współpracowałam ze wszystkimi prawie redakcjami warszawskimi, nawet sportową i wojskową. Do tej ostatniej robiłam tematy społeczne — jak wieczór wigilijny wśród żołnierzy Wojsk Ochrony Pogranicza. Ale nade wszystko ceniłam sobie status korespondenta magazynu „Z kraju i ze świata”. Na antenie Rzym, Bonn, Zielona Góra, Nowy Jork... To brzmiało!

miał z sobą kłopoty. Innym też ich nie oszczędzał. Nie oddanej w porę audycji nie można zastąpić komentarzem PAP: Po 16 latach, przepracowanych w zielonogórskim radiu, Leszek został zwolniony z pracy. Po Wrocławiu, osiadł w Jeleniej Górze i jest korespondentem terenowym.

„Po odejściu Leszka Zielińskiego przez redakcję młodzieżową przewinęli się Janusz Grot, Tadeusz Samitowski i Grzegorz Chwalibóg. Młodzi, zdolni, dowcipni. Wbiegali do zawodu na skrzydłach. Janusza ciągnęło w stronę „Filipinki”, Grzesia — w góry. Tadka uparcie — do Warszawy. Wyjechał w roku 1974. Pracował krótko w „Sygnałach dnia”, potem w dzienniku telewizyjnym. Znal doskonale język rosyjski. Mówiło się o Moskwie. Został korespondentem radia i telewizji w Budapeszcie i Belgradzie.

W roku 1981 Tadeusz Samitowski po reportażu telewizyjnym z Olsztyna stał się „czarną owcą” polskiego dziennikarstwa. Postępowanie dyscyplinarne Sądu Koleżeńskiego SDP zamieniło się w lincz. W maju 1981 roku red. Samitowski usunięto ze Stowarzyszenia pod nieprawdziwym zarzutem antysolidarnościowego manipulowania faktami. W październiku tegoż roku prosolidarnościowy przewodniczący SDP Stefan Bratkowski został wydalony z partii.

Rozmawiałam z Tadeuszem w Warszawie. Nie mogłam mu wtedy pomóc. Ani on mnie...

ka lat trafiała się wielka susza lub wielka powódź.

Kłeska żywiołu spadła na województwo zielonogórskie latem 1977 roku. Wyłaziła Odra. Nocą w Zaganiu stałam na moście, atakowanym przez żywioł. Żołnierze nie wypuszczali do zakładów „Polmar”. Wszłam i z bliska relacjonowałam walkę ludzi o fabryczne dobro. Woj skową amfibią docierałam do rozmiękłych wałów przeciwpowodziowych na Odrze pod Nową Solą. Z lotu helikoptera oglądałam zasięg klęski i rozmiar szkód. W południe i wieczorem szły na antenie ogólnopolskiej korespondencje z Zielonej Góry. W końcu sierpnia wody opadły. Ja znalazłam się w szpitalu.

— To tylko wyczerpanie nerwowe — orzekł ordynator, Nerwica. Trudna do uniknięcia cena za złożoność cech osobowości. Chwała autorom takiej definicji. To jest waluta wymiennalna za pośpiech, za intensywność przeżyć.

Festiwalowe dni i noce. Długa harówka i cudowne wzruszenia. Z Żenką Pawłowską prowadziłyśmy biuro prasowe pierwszych konkursów piosenki radzieckiej. Stawialiśmy własną kawę. Walczyliśmy o ustanowienie nagrody dziennikarzy dla naszego faworyta

nadanie tej nagrodzie rangi. Takie były początki.

Festiwalom Piosenki Radzieckiej zawdzięczam spotkania z wybitnymi kompozytorami i piosenkarzami ze Związku Radzieckiego. W języku, bliskim mi od dzieciństwa, robiłam wywiady z Aleksandrą Pachmutową, Babadżanjanem, Kolmanowskim, Tuchmanowem, Bernesem, Biczewską i tyloma innymi. Byłam tłumaczką i przewodniczką Arkadija Ostrowskiego po Polsce, goszczącego w Zielonej Górze w roku 1966.

Umożliwiłyśmy się w Moskwie. Kiedy tam pojechałam, Ostrowski już nie żył. Na cmentarzu Nowodiewiczym odnalazłam grób autora piosenki związanej trwale z zielonogórskim Festiwalem. Zły zbyt intensywnie, żeby żyć długo.

Dziennikarskie przygody. Dramatyczne i zabawne. Któż ich nie przeżył?

W Rozgłośni zamieszanie. Z Berlina do Moskwy wraca Nikita Chruszczow. Pociąg specjalny przystanie w Kunowicach. Wyjeżdżamy późno. Ja, kierowca Czesław Możdżeń i technik Zdzisław Elman. Zabieram taśmy do wozu sprawozdawczego i magnetofon reporterski, na wszelki wypadek. Zbudowany dla ruchu międzynarodowego dworzec kolejowy w Kunowicach, zazwyczaj senny i pustawy, plonie wszystkimi lampami. Działki samochodów, obstawa, oczekiwanie. Nadjeżdża pociąg. Tłum wita cych zrywa kabel, łączący mikrofon z wozem. W dodatku przewraca mnie na śnieg. Moje baranie futro amortyzuje upadek i najważniejsze — chroni zapasowy magnetofon. Słysz po rosyjsku: „diewuszkę potopoczenie”. Któż z obrony radzieckiej pomocy mi wstać i wypcha przed oblicze Nikity Chruszczowa. Po niewyobrażalnie dobrej kolacji w Berli nie radziecki maż stanu jest w świetnym humorze. Żartuje, rozprawia o pszczołach i trutniach, a ja rozpaczliwie myślę, aby nie zawiodł mój magnetofon i żeby padło choć jedno zdanie, nadające się na antenę. Nieśmiało wywołuję temat granic pokoju. Chruszczow odpowiada. Na pożegnanie ścisła ręce stojącym najbliżej i mnie!

Po powrocie do Rozgłośni wybuchła burza. Długo wyjaśniamy, jak doszło do zerwania kabla. I choć przywożłam na granie, chłopaków ukarano. Kiedy odszedł Chruszczow, Zdzisław żartował, że przewidując bieg historii specjalnie nie nagrał kunowickiego spotkania.

Mikrofon to potęga. Pozwoli mi zett nać się z ludźmi niezwykłymi. Nagrywałam rozmowy z głowami państw, marszałkami, ambasadorami, uczonymi, kosmonautami.

Zapamiętałam bezpośredni sposób życia i dużą kulturę osobistą Aleksandra Zawadzkiego, Mariana Spychalskiego, Oskara Langego. Urokliwy uśmiech Jurija Gagarina, który gościł w Zielonej Górze w roku 1961. Kilka miesięcy później odwiedził go szarmantny gest Mirosława Hermaszewskiego, który opóźnieł o kilka minut — sprawdził nie lot kosmiczny, ale spotkanie ze studentami WSI, aby udzielić wywiadu śpieszącej się reporterce.

Zwyczajni ludzie, których głosy utrwalałam na milionach metrów taśmy magnetofonowej, także bywali zupełnie wyjątkowi.

Dziennikarstwo jest profesją na całe życie.

Zygmunt Gałek — wieloletni realizator dźwięku w Zielonogórskiej Rozgłośni PR

Fot. BRONISŁAW BUGIEL

kiej”, można odmówić kobiecości i urody?

Żelazną korespondentką magazynu zo stałam przypadkowo, w końcu lat pięćdziesiątych. Któż z dziennika musiał pojechać na pierwszy zjazd do Krakowa. Wypchnięto mnie. I wsiadłam na długie lata...

Uczestniczyłam we wszystkich dziesięciu zjazdach w różnych ośrodkach radiowych kraju. Jedenasty zjazd korespondentów codziennego magazynu informacyjnego miałam organizować w Zielonej Górze. Ale wiosną 1969 roku poprosiłam o zwolnienie z kierowania redakcją dziennika. Zmęczyłam się wieczną dyspozycyjnością, pośpiechem, napięciem, a i nie ukrywam, indywidualnościami, które miałam w redakcji.

1 maja 1969 roku zostałam kierowniczką redakcji młodzieżowej i dziecięcej. Ja plus Leszek Zieliński. Leszek — barwna legenda Rozgłośni, dobry dziennikarz, słynął z niepunktualności. Sam

szybował wysoko, na sekretarza „Literatury”.

O radio otarł się także Zenon Łukaszewicz. Był początek lat 60-tych. Wiedzieliśmy, że przyjaźni się ze Stanisławem Grochowiakiem i recenzował pierwsze wiersze wybitnego poety. Po znał mnie z Grochowiakiem w swoim domu. Niedawno red. Łukaszewicz przyznał, że za wywiad z Jerzym Putramentem zapłacił mu rekordową sumę: 150 złotych. Podobnie wysoko wyceniłam wywiad z Jerzym Andrzejewskim, przyniesiony po którymś „ozwarte” lubuskim” w bibliotece.

Tematy na czołówkę dziennika narzucała polityka i przyroda. Raz na kil

Po długich igrach dla moźnych państwa i ich czeladzi dostali sutą wieczerzę w dworskiej kuchni. Dziewka postawiła też stągiew kwaśnego piwa. Nocny stróż zaprowadził do stodoły, gdzie legli na klepskim wymoszczonym słomie. Kompani rychło zasnąli, lecz Albert na próżno wyczekiwał snu.

Bezsennosć sprowadziła wspomnienia o osiadłym życiu sprzed lat. Syn zamożnego kmięcia spod Szprotawy, ukończył miejską szkołę trywiałną, by następnie w szkole katedralnej we Wrocławiu poznać pozostałe sztuki wyzwolone. Wrócił do Szprotawy, gdzie przyjęto go jak swojaką, obdarzając bakalarstwem w tej samej szkółce. Po dwóch latach poznał Maryjkę. Niewielki wniośnik posag, nazbyt liczne miała rodzeństwo. Powab wiotkiej postaci i ślicznej twarzy stokratnie wynagradzały mu trud wzbijania do głów mieszczanich synków początków łaciny, arytmetyki i geometrii. Jak i częste wizytacje rajców grodzkich i zażywności plebana, popisującego się znajomością pytań i odpowiedzi z Gramatyki Donata. W domu wodził za nią zakochany mi oczami i chętnie wyręczał w cięższych robotach, a już całkiem oszalał na wieść, że jest przy nadziei. Nigdy nie mieli dosyć rozmów o dzieciństwie, które pojawił się w domu.

Nagle nadejście mroźnego powietrza zniweczyło wszystko. Uliczki miasta i przedmieść wypełniły krzyki rozpaczliwych, rozdzierający uszy kaszel i bicie dźwięków. Na placach i skrzyżowaniach płoń nęły ogniska, mające smrodliwymy dymem odstraszyć zarazę. Na próżno dobijał się do drzwi cyrulika, błagając o pomoc dla Maryjki. Zamiast pójść z nim, wysunął tylko przez okienko głowę z owianą białą szmatą twarzą. Rzucił mu dwa woreczki z ziołami do okadzenia izby i sporządzenia naparu. Po powrocie zastał na progu garnki z krupą i mąką oraz zwinątko z kawałkiem boczką, dar od krewnych.

Przed zawarciem drzwi dobiegli go strażnicy, zakazując mu na czas zarazy opuszczać domostwo. Na odchodnym poznali, że zmarłych, szczególnie owiniętych w płótno, należy wystawić za próg. Już chciał ich zgromić za głupawą radę, gdy widok młotającej się na łożu żony, spotał się i zakrwawionej od wymiocin, zdławił mu gardło. Nie pomagał dym ani napar od cyrulika. Pogrążony w rozpacz odcierał jej pot, zmywał krew z siniejącej jak żelazo twarzy i zmieniał okłady na gorącym czole, aż do ostatniego kurczu i ustania oddechu.

Odtąd nosiło go po świecie, byle dalej od Szprotawy, po Śląsku, Łużycach, Brandenburgii i Polsce. Przysłał do niego gantów, zyskując wśród żonglerów, kuglarzy, pieśniarzy i bajarzy uznanie i po słuch za uczoność i rozagę. Po latach udało mu się z pamięci i snów wymazać chorobę i śmierć Maryjki. Jeśli pojawiała mu się we śnie, to tylko jako smukła, piękna i radosna dziewczeczka.

Powtórzył się komot do wrót. Czas wstawać. Zmienił koszulę; spotała do przeschnięcia rozłożył na słomie. Otrzymał z obcisłych spodni słomę i plewy. Długo trwał, zanim zbudził towarzyszy. Czachając się i ziewając dzwignęli się ze słomy. Palcami równali skudłaczoną czuprynę. Zwalist Przemko, siliacz nad siliacz, przeciągnął się tak mocno, że w krzyżach chrupnęło. Rudolf, najmłodszy z nich, płowowłosy trefniś i żongler, przecierał zaskawione oczy. Chudy jak szcypa Karol, lykacz ognia i miecza, najprędzej się ogarnął i spytał Alberta:

— He zebrales wczoraj do czapki? — Dziedzic dał dziesięć srebrnych groszy, czeladź trochę miedziaków. — Dużo — mruknął Przemko. — Za igrę nie dały nawet połowy, ale ująłem go chwałką rodu i rycerskich przewag.

Przy studni czekał na nich włodarz, niski grubas w brązowym kabacie i luźnych spodniach wpuszczonych w wysokie cholewy butów. Okragłą twarz o krwistej cerze zdobiły wąsy o strzępiastych końcach. Przekazał im miłą wiadomość: — Wielmożny pan kazał was pożywić na ojedzonym. Woda do obmycia w tym oto korycie.

Zadowolony z ich podzięki, jakby sam był dawcą, odszedł godnie.

Albert swoim przykładem przyspieszał mycie i golenie. Dopiero przy misie gorącego kwasu, suto okraszonego kawałkami mięsa, trochę odpoczęli. Siużetna dziewczka dowała każdemu po pajdzie razowca z serem. Powrzucała na wóz oręż sposobny do obrony przed rabusiami, z dwoma kuszami na dodatek, węzki z odzieży i pudła z instrumentami do igrów.

Nakarmiony w dworskiej stajni bułankę ruszył za bramą kłusem. Gromad

wał ręce trafiając w bok śpiącego Rudolfa, że ten usiadł z jękiem:

— Bierz się do niedźwiedzia, nie do mnie! Małoś mi żebra nie złamał.

— To Albert mnie zbudził bez potrzeby.

— Musiałem siliacz, musiałem. Nie sprostałes pogiętego wczoraj żelaza. Przemko sięgnął po zgity w koło pręt. Zaczął się z nim mocować. Rudolf znowu potrącony, zawołał z gniewem:

— Karol, wstrzymaj koni, żeby ten osilek mógł zleźć i naprostować, co pokrzywił!

Przyjechali stępa przez opustoszały z ludźmi Jędrzychów, obszczekiwani przez rżące się z uwiezi psy. Spadek drogi zmusił bułankę do klusa. Niskie chłupy przy drodze przedmieścia na Piasku nie zasłaniały widoku na gród. Ujrzel najpierw wieżę.

— Te dwie wysokie ze spiczastymi szczytami, to kościelna i ratuszna, ta

Ten widok tak zdumiał Marcina, że mało nie wypuścił z rąk dużego dzbanu. W milczeniu napełnił winem rozstawione na stole kubki. Wyrażne zmieszanie gospodarza kloniło rybaltów do picia wina w milczeniu.

Nie obca im była niechęć, ba, nawet pogarda osiadłych do ludzi ich profesji. Pogapić się, posłuchać piosenek i baśni mogli, rehotać z facecji też, za to płacił przeciw miedzią i srebrem, ale bratać się z rybaltami, uznać za równych — nigdy! Jednak miarę mieli dla nich rycerze, rajcy, mieszczanie, nawet plebs i dworska czeladź.

Na podwórku, gdzie wyszli, zostawiając tamtych przy winie, pierwszy Marcin przerwał milczenie:

— Co się stało, Albercie? Myślałem, że bakalarzysz w Szprotawie. Przed ostatnim mroźnym powietrzem przyjezdny kupiec przywiózł mi pozdrowienie od ciebie, cuda prawięc o urodzie twej żony... Rzuciłeś ją na poniewierkę?

blach uparcie ku zachodowi żeglując, do ziem rajszych, pełnych skarbów wszelakich dopłynął...

— Ten ci, — wskazał na Rudolfa, który przy poklonie na lutni brzęknął — nadobny młodzieniec gębę ma pełną uczesanych facecji i krotocwilnych przy mówek. Nado żongluję sprawnie nad podziw. Miłościwie nam panujący Władysław Jagiellon, tak zasmakował w je go sztukach, że trzymał go w Pradze długo i dukatami obсыpywał...

Jedna ze starszych niewiast mruknęła zrzędnie: — Podkurcz to jakiś i trzosa przy pasie pustą.

Odciał się jej zaraz Albert: — Rudolf ubóstwo ślubując, przeznaczył królewskie złoto na wspomnienie niewiast sędziwych a pyskatych! — przeczekał śmieszki. — Ten zaś Przemko, piszczałką się bawiący, mocarny jest wielce. Łańcuchy rwie, podkowy łamie jak inni świece...

Postawny mężczyzna zawołał: Łesz, rybaltie!

— Kpem będę, jeśli mu kto placu dotrzyma!

W sukurs poprzednikowi ruszył stojący obok: — Nie dajcie się, kumie, prości!

— Nie stosowna teraz pora, pierw obejrzyć jego moc przy żelazach...

— Ten zaś... arolus — ciągnął dalej uśmiechnięty Albert — miecze i ognie lyka jak najlepsze przysmaki...

Skarcona poprzednio białogłowa znowu się odezwała: — Z czartowskiego on widać rodu, że tak do ognia skłonny...

— Karolus jest chrześcijan prawy, jako i wy. Czas rozpocząć igrę ku ucieśze obecnych...

Przerwał mu jednak ktoś z gromady: — Zwykle z rybaltami linoskoczki niedźwiedź chadza!

— Była w naszej kompanii nadobna linoskoczka Magdusia, ale w grodzie znacznym, który Zaganem zowią, zapłonał do niej afektem kupiec znaczny i za małżonkę pojął.

Zawrzało od śmiechów i protestów: — Nieobyczajne rzeczy prawiś! Kto by z osiadłych wedrowną linoskoczka za żonę pojął. Mało to w Zaganu panien enotliwych?

Zażegnał Albert zwałę pojednawczym stwierdzeniem: — Nie wiem, co było po naszym wyjeździe, spytajcie innych — przeszedł do sprawy niedźwiedzia. — Niedźwiedź zdechł w Gubinie i nasz kompan do Polski ruszył, żeby nową bestię pozyskać. Niedźwiedź nawyki był do piwa i miodu, ale tamte sze wino, którym go napojono, zgębu mu przyniosło...

Teraz śmiech ogarnął wszystkich. Zaczęło się i pokłepywano z uciechy. W końcu jeden zawołał:

— Dostali za swoje pyszałki! Nawet bestia nierozumna padła od ich cieniunka!

— W Gubinie zaś prawia, że wino wasze okrutny kwas zawiera...

To posądzenie oburzyło wielu, a szcze gólnie jednego starszego meża:

— Jako psy szczekają! Zajdźcie do mnie po igrach na próbowanie.

— Nie omieszkać przybyć z całą kompanią — skłonił się Albert.

— Opamiętaj się, Jędrzeju — zawołał sąsiad winogrodnika — przecież te obieżyświaty osuszają ci piwniczki!

Wśród wzbierających śmiechów i przy mówek, odcignął Marcin na bok Alberta.

— Spieszmy zaraz do burmistrza.

Albert polecił Rudolfowi prowadzenie igrów. Chyba nie wrócił, niech kończą z zbiorą, najlepiej Przemko, datki! Odchodząc ku Nowej Bramie słyszał dzwiczny głos kompana, przerywany, śmiechami słuchaczy.

(Fragment powieści historycznej z początków XVI wieku.)

PRZYJAZD RYBAKTÓW

Kazimierz Malicki

ka dzieci biegła za nimi do ostatniej zagrody z okrzykami:

— Waganity, kumediany! Waganity, kumediany!

W odpowiedzi Rudolf zaśpiewał piosenkę ułożoną ongiś przez Alberta: Bieda nam pania, głód przyjaciele, pościć wypada często w niedziele.

Trakty nad domem, przetak odzieniem, a za posłanie służą kamienie.

Lecz nie oddamy naszej swobody za dobra wasze i za wygodę...

— Dosyć, nie drzyj się — rzucił Albert. — Chronę gębę na lepszą okazję. Nie głodny zresztą ani obdarty. Nawet koń kłusuje bez bata.

Słońce z bezchmurnego nieba dogrze wało coraz mocniej. Szeroka droga na przemian twarda jak klepisko albo miękka, piaszczysta. Lasy zbliżały się do niej, dając cień, to znowu odchodziły, daleko, robiąc miejsce takom z gromadkami zagrodników przetrząsającymi widla niedawno zżętą trawę, zagonom żyta, owsa, jęczmienia i zakwitającej gryki. Przedzielali je pasy ugorów, na których jesienią po orce wzrosną oziminy.

Przedłużające się milczenie przerwał powożący Karol: — Albercie, długo zabawimy w Grunbergu albo jak wolisz w Zielonej Górze?

— Dwa dni albo trzy. Mam tam znajomka winogrodnika na Piaskach, który da nam nocleg, jeśli się nie odmienił albo nie pomarł.

— Pilem ongiś węgrzyna, to był trunek!

— Bo pochodzi z gorących ziem. Do trawienia mięs i nasze dobre. Mają też w Zielonej Górze znacznych piwowarów.

— Po jakimu będziecie z Rudolfem gadać? Do Przemka i moich kuglarstw niepotrzebna mowa.

— Tak to w śląskich grodach bywa, że bogatsi mistrzowie i panowie rada są Niemcami, plebs zaś gada po polsku, choć jedni i drudzy znają obie mowy. Czas zbudzić Przemka.

Tarmoszony olbrzym z trudem otworzył oczy. Swoim zwyczajem szeroko roz

wał wprost baszta, z wierzchu okolona blankami, zowie się Głodową, zaś czwartą z blyszczącym miedzią kółkami, niedawno zbudowaną, jest Wieżę Łaziebną przy Nowej Bramie. Mury z kamienia i cegiel ani dmywają się do koczowniczych, mają niespełna dwa sążnie...

Przed rynkiem kazał skrócić w ulicę kę pnącą się stromo. Po minieciu kilku domów zobaczył wychodzącego z obcejścia dostatnie przyodzianego człowieka. Na widok zeskakującego z wozu Alberta zawołał z uśmiechem:

— Witaj, Albercie, witaj!

Zwarł się w uścisku, długo klepiąc się po ramionach i plecach. Gdy Albert wyjął cel podróży, Marcin Kwas skoczył za furtę i rozwarł bramę. Pod wórkę otaczał z jednej strony dom, szczytem zwrócony ku uliczy, z drugiej stały rzędem obora, stodoła i budynek z widoczną prasą do tłoczenia wina. Na wprost za niskim chruścianym płotem zielenił się ogród. Po rozkiełnaniu konia i zadaniu mu obroku przedstawił Albert kompanów. Na to wysła z domu postawna niewiasta o rumianej twarzy, niebieskooka. Twarz jej trochę zmierzchnięła na widok obcych, wśród których górował Przemko. Rzucili się jej do rąk, choć zawstydzona chowała je za siebie.

— Gość w dom, Bóg w dom — powiedziała wskazując na otwarte drzwi.

— Pani... — zawiesił głos Albert.

— Katarzyna albo lepiej Kachna — rzucił Marcin.

— Pani Katarzyno, my nie głodni — spojrzał karcąco na Przemka, któremu po słowach o sytości twarz posmutniała.

— Podjedliśmy tego w Zatoniu. Kompani muszą zmienić przyodziewek. Może tam — wskazał na stodołę.

Jednak gospodarz wprowadził ich do izby, wychodząc zaraz po wino. Ponagleni przez Alberta przyodziali się w pa radniejsze szaty: w spodnie o ciasnym, różnobarwnych nogawicach, w sute kaptany z naszytymi wstęgami, czerwone ciżmy z długimi nosami.



1. Szpital 2. Polski kościół 3. Stara poczta 4. Górna wieża 5. Dom ludowy 6. Nowa Brama 7. Ratusz 8. Kościół św. Elżbiety 9. Dolna Brama 10. Złoty potok 11. Wieża Głodowa 12. Brama kościelna 13. Stary cmentarz.

W Taszkencie zamieszkałem na dworcu i ładnie po starym mieście. Uliczki wśród murów z gliny, piaskie domki tyłem obrócone do miasta, kłose winogron przetrzone nad sankiem, piwniczka z mocnym, słodkawym winem, prostytutka w pantalonach i z tubetką na głowie. Wyłizaliśmy razem butelkę wina i poszliśmy do chaty jej matki, kładąc się na brudnej macie z kolorową poduszką pod głowę. Zarówka obsrana przez muchy natarczynie świeciła pod sufitem. Zoja słabo mówiła po rosyjsku, ja nie miałem ochoty na miłość. Wręczyłem jej trzy ruble i prosiłem, by się rozebrała. „Mam się umyć?” — spytała przostodusznie. „Zrób to, jeżeli możesz”. Wyciągnęła miednicę i oblała się kubkiem wody. Nie oyla zgrabna. Szeroka twarz, czarne oczy, krótki nos. Duże piersi i kilka fałd na brzuchu. Usiadła obok i ostrożnie mnie dotknęła. „Boisz się?” „Tak”. „Czego? Nie jestem chorą”. Człowiek siebie się boi, nie choroby”. „Siebie — pokreśliła głową — jesteś jeszcze młody”. Zdjęła mi buty i rozpięła marynarkę. Patrzyłem, nie ruszając się z miejsca. „Skąd jesteś?” „Z Polski”. „Dlaczego w ruskim mundurze?” „Służę na kolei”. „Pociąg chodzą w polskich mundurach i nie są tacy wstydlivi. Chcesz, przyniosę ci wino?” „Nie trzeba. Jesteś miła i po co się męczyć? Pójdź się kolo mnie”. „Masz przetrwa-tywy?” „Tak, tutaj w kieszni”. Wyjęła kondony i trzymała bezzadnie w ręce. „Zimno mi. Matka mówiła, że kiedy ciało zimne, przycho- dzi diabeł”. „Diabeł jest we mnie. Nie boj się”. „Ludzie nazywają mnie białe, a ty jesteś dobry”. „Kobieta nosi w sobie dziecko i dlatego jest świę- ta”. „Święta?”. Nie wiem co to znaczy. Chciałam mieć dziecko i zepsułam się. Samir poszedł do wojska i co miałam zrobić”. „Co będzie, gdy Samir wróci”. „Wróci, zajął, nie wróci, będę biała. Niki mnie tutaj za żonę nie weźmie. Pracować nie umiem”. „Każdy umie pracować, gdy chce”. „Nie chcę pracować. Nudno. Chłopcy od Andersa bawią się ze mną. Dużo piją. Mówią, że moja żona jest polska”. „Nie polska, lecz jak Polska”. „Co to znaczy?”. „Tam wszystko zоста- wili, została im tylko żona”. „A ty nie chcesz?”. „Nie”. „Dlaczego?”. „Smutny dziś jestem. Wino macie ciężkie. Ospale. Moja matka nigdy nie my- ślała, że będę u dziewczyny w Taszkencie. Pięk- ne macie miasto, chłopcy siusiują do artystów i piją z nich wodę, śnieg w górach i upał w dusz- nych ulicach. W nocy zimno i przychodzi diabeł. Ubierz się”. Wstała, narzuciła chalat. „Zechcesz, można i tak. Przypomnę ci matkę”. Podniosłem się na łokciach. „Rany boskie, Zoja”. „Sam mó- wileś, że albo białe, albo matka”. „Jest jeszcze kobieta”. „Bóg stworzył człowieka. Mahomet je- go prorok. Białe myła mu nogi. Kiedy nie macie dziewczyn, każda kurwa jest dobra. Taką macie naturę. Ty myślisz o matce? Chcesz, mogę być matką”. Wstałem. Dałem dodatkowe trzy ruble. „Dziękuję, Zoja. Pójdę już”.

Pod pozorem sprawdzenia, czy ktoś nie nocu- je w pokoju hotelowym, odwiedziła mnie dy- żurna siedząca na piętrze. Za chwilę zjawiała się jej koleżanka. Obie skarżyły się na wojnę i związane z nią trudności, braki w zaopatrzeniu i stosunki domowe. Dwie zatroskane niewiasty, które nie bardzo wiedzą, co zrobić z nocą. Dy- żurna miała około czterdziestki, gruba i nieład- na, bez żadnych pretensji. Przyjaciółka znacz- nie młodsza, prawie dziewczyna, gdyby nie zmę- czenie w oczach, zła szminka i pretensjonalna sukienka z białym kołnierzykiem. Dyżurna na- zywała ją Katia i zachęcała do bardziej aktyw- nej postawy: „Uśmiechnij się, powiedz coś, mo- je bądź głupia”. Trwało to jakiś czas przy mojej zupełnej bezzadności. Starsza w pewnej chwili

otrzymać zamiast pięciu rubli. Nie bardzo wie- działem, jak mam postąpić. Zadzwoń do dy- żurnej — mogło się to dla Kati fatalnie skoń- czyć. Głupio za nie dać pięć rubli, tym bardziej pantofle. Dziewczyna była powściągliwa i nie narzucała się. Zdawała sobie sprawę, że nie mam ochoty, i zapytała mnie, czy może się wykapać w łazience. Nie oponowałem i dla zabicia czasu wyjąłem książkę. Dyżurna nie przychodziła. Siy szaleł, jak Katia brała prysznic i w popłochu zastanawiałem się, czy nie uciec. Na szczęście Katia wróciła, ubrana, zaróżowiona, niemal od- młodziła. Nastawiła radio. W nocy nadawano lekką muzykę i piosenki. Katia zaproponowała tańiec. Była lekka i stosunkowo zgrabna. Poru- szala się dobrze, z wyczuciem taktu i sytuacji. Przypomniałem sobie, że w kieszni mam prezerwatywy, i uchyliłem jej spodniczkę. Majtki miała niebieskie, jak wszystkie dziewczyny w Moskwie. Upominała, że cena wynosi pięć rubli. Dałem trzy i kazałem się wynieść. Lekko, zdzi- wiona skierowała się do wyjścia. Po chwili zja- wiała się dyżurna. „Nie podobala ci się?”. „Nie mam ochoty”. Zmęczony jestem i chory. Zam- knij drzwi i nie wpuszczaj nikogo”. Dyżurna wzruszyła ramionami i wyszła. Byłem istotnie zmęczony. Idiotyczna sytuacja i własna bezrad- ność. Nie wiedziałem, czy postąpiłem słusznie.

Epizody z życia EROTYCZNEGO

(2)

Włodzimierz Sokorski

Cena pięciu rubli wyprowadziła mnie z równo- wagi. Pantofle Maryny przestały mi się podobać i z obrzydzeniem wrzuciłem je do szafy. Nie myjąc się, położyłem się do łóżka. Długo nie mo- głem usnąć. Czulem się upokorzony zdziwieniem Kati i jej posłuszeństwem, gdy wyszła. W grun- cie rzeczy nie miałem argumentów, by móc się usprawiedliwić. Znak równania między miłością i kurewstwem zależał tylko od umowy. Moja po- stawą niczego nie zmieniła. Była tylko wybie- giem i urażoną ambicją. „Przewodnica” w pocią- gu Taszkent — Moskwa powiedziała mi, że upra- wia miłość nie dla przyjemności, lecz dla zabi- cia czasu. Rytm kół wagonu doprowadzał ją znacznie łatwiej do orgazmu niż gdy leżała z pijanym mężem. Byłem jej wdzięczny za szcze- rość i za chleb ze smalcem. Nie przychodziło jej

ny. Pracowała jako inżynier kolejowy, bez szans na rynek zamążpójście. Mężczyźni znajdowali się na ziemiach wyzwolonych lub walczyli na froncie. Sytuacja taka jak wszędzie. Ksenia była miłą dziewczyną, szczupłą, może nawet ładną. Ciemne włosy i takie same brwi, długi nos, pociągła twarz, typowa Osetyjka. Dzieci nie mia- ła. Męża zmobilizowano zaraz po ślubie. Matka Kseni, starsza, godna kobieta, starała się nam nie przeszkadzać, kłębiła się po kuchni. Ksenia uśmiechała się, miała duże czerwone wargi i ładne, białe zęby. Jedwabna bluzeczka ukrywa- ła piersi, nie były duże, lecz dawały się zauwa- żyć. Gdy dolewała mi wino, widziałem jej dłu- gie palce i bez entuzjazmu myślałem o czekają- cym mnie nocy. Wino leniwie krążyło w głowie, budziło myśli bez skojarzeń, apetyczne, bliskie snu. Ksenia wstała i włączyła radio. Była pod- niecona, może zdenerwowana, w każdym razie jej nastroj zaczął się i mnie udzielać. Ludowe piosenki, obce, gruzińskie słowa. Wstałem i pró- bowiałem tańczyć. Za oknem wiatr szumował w drzewach. Ksenia w kolorowej spodnicy, pra- wie do kostek. Szyję miała gładką, długą i po- zwalała się całować. W pewnej chwili powie- działa „nie!”. Twarz matki w drzwiach kuchni, odruch Kseni, jakby chciała uciec. Powtarzała „nie!, nie!”. Nie mogła się bronić. Podobała mi się coraz bardziej, całowałem jej kolana i uda, nie musiała nawet się rozebrać. Jej biała halka nie okrywała już ciała. Rozerwałem bluz- kę, by wydobyć małe piersi, może trochę za ma- łe, ale nie miało to już znaczenia, gdyż jej czer- wone usta, otwary się w milczeniu, bez jęku, nie macąc ciszy pokoju, która nas wypełniała. Oczy miała zamknięte i może dlatego nie chcia- łem się spieszyć, czekałem na wyraz napięcia. Uchyłone usta, białe zęby i dopiero prawie nie- słyszalne „nie!, nie!”. Milczenie Kseni, cisza, któ- ra nas pokryła.

Wiatr bił się za oknem. Ksenia leżała na tap- czanie zwinęta w kłębek. Matka przyniosła dwie filiżanki kawy i nalala po kieliszku ko-

bie. Należało być zupełnie pijana”. „Mnie rów- nież boli głowa”. „Jarosław zaprosił nas do sie- bie i ty przyszedłeś ostatni”. „To się zgadza”. „I nic nie pamiętasz?”. „Prawie. Goliłem się w lu- strze”. „Byłeś nieznosny. Nie byłem wcale tak pijana jak myślisz. Eleonora zabrała Kozianiu- ka i śpią w drugim pokoju”. „Nie sądzę”. „Za tymi drzwiami jest kuchnia. Nastaw wody, zro- bimy kawę”. Byłem posłuszny. Kiedy wróci- łem, dziewczyna stała już w szlafroku. „Miałeś rację. Eleonora nie ma, musiała z kimś pójść na chatę. Jesteśmy sami. Przedstaw mi się”. Nieu- dołnie, z blazemskim gestem wymieniliśmy imię i nazwisko. „Marusia jestem i ciągle muszę spać z Polakami. Jarosław nazywa mnie polonofilką i twierdzi, że jestem zboczona”. „Trudno panią upewnić, że jest inaczej. Po prostu nie pamię- tam”. „Nie udawaj, nie robieś wcale wrażenia pijanego”. „To przyszło widocznie później”. „Dzi- ki mi. Musiałam ci dać nie tak jak wszyst- kim i w nagrodę zażądała wina. Zmorzyło cię. Dlatego boli cię głowa”.

Marusia wyszła zaparzyć kawę. Skorzystałem, by udać się do toalety. Poczułem się znacznie lepiej i gdy Marusia wróciła, byłem prawie szczęśliwy. „Piękny mamy dzień zwycięstwa”. „Nie wygłupiaj się i zdejm marynarkę. Na dwa rze słońce. Otworzyłam okno. Jeżeli zapędziłeś mnie w ciążę, będziesz płacił alimenty”. „Zaw- sze są dwa wyjścia”. „Zartuj. Jesteś miły chlo- piec, chociaż bolszewik”. „Polak — bolszewik” — poprawiłem. „Taki Polak, jaki Gała Ukrain- niec. Wszyscy jesteście dobrzy”. „Należy nam się, przeyliśmy wojnę”. „Traf i zbieg okoliczności”. „Więcej szczęścia niż rozumu”. „Dodać ci kawy? Może wódki?”. „Kieliszek wódki dobrze mi zro- bi”. Ten łeb przeklęty... Wstała, podeszła do szafki. Była młoda, prawie dziecko, zgrabna. Rysy spłaszczone przez kurnosy nos i wydane wargi. „He masz lat”. „Szesnaście”. Wypiłem jeden, drugi. Poczułem się lepiej. „Jestem dla ciebie prawie stary”. „E tam, nie takie graty obracałam”. „Z Niemcami?”. „Także”. „Wczes- nie zaczęłaś”. „Tak sobie. Jarosław mnie i Eleo- norę wyciągnął z burdelu, gdy Niemcy uciekli i Rosjanie nie zdążyli nas jeszcze wywieźć. Ko- chamy się teraz za darmo. Jarosław nas utrzu- muje. Prosił nie brać pieniędzy. Zapisał na wie- czorowe kursy. Zrobimy maturę i będziemy pra- cować”. „Też dobrze, lecz mogło być lepiej”. „Co lepiej?”. „Mieć stałego chłopca”. „Taki się jesz- cze nie narodził. Zresztą, po co? Chłopcy są mili, ty też fajny. Nic nie możesz sobie przypomnieć?”. „Teraz trochę. Nie myślałem, że jesteś taka mło- da”. „Młoda, stara, na jedno wychodzi. Patrzy- łaś na dupę i nie więcej cię nie obchodziło. By- łaś taki zawsze, czy dopiero ze mną?”. „Jesteś ponad wiek ciekawa”. „Nawet nie ciekawa, ale trzeba coś mówić, zanim znowu położymy się do łóżka. Przyjdźcie Eleonora i zrobimy obiad. Może zjawi się Gała i przyniesie ci płaszcz”. „Ale wpadłem”. „Co znowu?”. „Z tym płaszczem. Jest słońce. Nie jest potrzebny”. „Kreć się jak glu- pia, a chce mi się siusiać. Poczekaj na mnie. Rozbierz się, zaraz przyjdę”.

Wstałem, sięgnęłam po marynarkę, wysuną- łem się na korytarz, uważając, by nie przewro- cić krzesła. Cholerny zamek, nie mogłem go otworzyć. „Myślałam, że przyszła Eleonora. Krę- cisz się, wstajesz, zamiast się położyć”. Znowu byłem posłuszny, „ale powiedziałam Marusi, że nie mam ochoty i marzę tylko o śnie. Ucieszyła się. „No, to kimamy”.

Do obiadu nie doczekałem. Jak tylko przyszła Eleonora, wykreśliłem się brakiem czasu i wy- szedłem. Dziewczyny były wyraźnie zadowolone.

(Fragmenty wspomnień Włodzimierza Sokorskiego pu- blikujemy za „Miesięcznikiem Literackim” — zeszyty 4, 6, 7, 8-9, 10 z 1984 r.)

Anna Kwapisiewicz

Godziny z Brahmem

tej nocy poszliśmy za daleko
klawisz po klawiszu
rozstrajaliśmy salonowe forepiany ciała

— więc Brahms był romantykiem?

czuję jak pamięć osuwa się z naszych dion
pamięć którą przechowywaliśmy tyle lat
wyrabiając w palcach niestępną grudkę gliny
i jest żywy odlew dziwny spokój
pomimo wyczuwalności podskórno go biegu rzek
ale możemy aż po kołnierz świtu
zszywać ślady zbyt późnego porozumienia
nie spozstrzegaliśmy nawet kiedy to się stało
że nagle tu w hotelowym pokoju
jakby przymierzanie do czegoś co niezależne

i co nam zakazane
całujesz muzyką całując pierwszkiem wiersza
leitmotyw gdzieś z czwartej symfonii
rozwleczonym andante oplata moje ramiona
wstydlive rogatki pożądania...

Z tomiku wierszy „Com tristezza”, który wkrótce ukaże się w Wydawnictwie Lubuskiego Towarzystwa Kultury w Zielonej Górze.

wyszła i Katia zapytała, czy ma się rozebrać. „Pracujesz w organach bezpieczeństwa?” — spy- tałem. Katia nie obraziła się. Musiała być bar- dzo zmęczona, zapewne nie była to jej pierwsza wizyta. „He?” „Pięć rubli”. Nie było to mało. Zoja, o dwa ruble tańsza, miała więcej uroku. Wojna usprawiedliwiała i zawód, i dyżurną. Okazało się, że Katie usunięto z Instytutu Che- mii, o pracę nie było łatwo. Zresztą nigdy nie dorabiała inaczej. Nie miała ojca, za to kilkoro- rodzeństwa; przyjęła jedną propozycję, drugą, zatrzymaną ją dla kontroli, groziło jej wysłanie poza Moskwę, zaczęła się w hotelu jako sprzą- taczka. Nie miała w sobie nic z kokietki i gdy- by nie róż na wargach i biały kołnierzyk, nie budziłaby najmniejszych podejrzeń. Smutek jej był przytłaczający.

Z przykrością wyjaśniłem, że nie mam pienię- dzy, gdyż po przyjeździe do Moskwy kupilem buty. Sobie i żonie. Nie kłamałem i wydobylem z szafy damskie pantofle. Katia obejrzała je uważnie zaznaczając, że w normalnym sklepie takich butów kupić nie można. Zapytała o cenę. Pokreśliła głową i przyznała się, że wolalaby je

do głowy domagać się pieniędzy. Uspokojony w swoim sumieniu, usnąłem.

Po kolacji udaliśmy się do pokoju Maryny. Zamknęła drzwi na klucz. Zaniósłem ją na tap- czan. Była to miłość bez słowa, gwałtowna, akt przemocy, może nawet gwałtu, ostatni w naszym życiu. Niczego nie można powtórzyć. Takiej miłości również. Żadne z nas nie krzy- czało i nie płakało. Nie przysięgało na wierność i nie chciało się tłumaczyć. Nie potrafiliśmy za- pomnieć tej nocy. Stratowana miłość i jej bez- siła wobec życia.

Chciałem już wracać do noclegowych pokoi, gdy młoda pracownica zaproponowała mi nocleg. Mieszkała z matką i mogłem wygodnie odpo- cząć. Zgodziłem się chętnie. Gruzinska kolacja, wino, fasola z sosem orzechowym, pieczeń z kozłaka, zielonina, owoce, kruche ciasto. Ksenia była wdową. Mąż zginął w pierwszym roku woj-

ARTYŚCI BEZ LEGITYMACJI

W Polsce i w niektórych innych krajach wyraźnie określono, że artysta — plastykiem, fotografikiem, kompozytorem, pisarzem — jest ten, kto posiada legitymację związku twórczego. Bardzo często artystą jest także ten, kogo grupa społeczna, instytucja uznaje za artystę. Na przykład pod koniec ubiegłego roku minister Kultury i Sztuki uznał Stanisława Parę, członka Sekcji Plastyki Amatorskiej LTK, autora powszechnie cenionych małych form graficznych, za artystę. Aby być artystą, trzeba tworzyć, prezentować swoje prace, zdobyć uznanie odbiorców.

Większość artystów w obu lubuskich województwach jest znana, trudniej odpowiedzieć na pytanie, ilu ludzi zajmuje się twórczością plastyczną, fotograficzną, muzyczną czy literacką w sposób amatorski. Do powstałej w 1961 r. Sekcji Plastyki Amatorskiej Lubuskiego Towarzystwa Kultury należy 118 osób z województw zielonogórskiego i ostrołęckiego. Są wśród nich lekarze, inżynierowie, urzędnicy, naukowcy, robotnicy, mieszkańcy dużych ośrodków miejskich i wsi, młodzi, starsi. Malują w wolnym od zajęć profesjonalnych czasie, raz w miesiącu spotykają się w LTK z plastykiem konsultantem, uczestniczą w dorocznych plenerach, biorą udział w dość częstych wystawach zbiorowych i indywidualnych. Towarzystwo udziela pomocy w zakupie farb, blejtramów, wydaje katalogi. LTK po wielu staraniach doprowadziło do utworzenia w Zarskim Domu Kultury Galerii Plastyki Amatorskiej, która w przyszłości znajdzie się w zamku DeWIN. W Zarsku organizowane są doroczne „Salony Jesienne” — przeglądy dorobku artystów amatorów z terenu województwa zielonogórskiego. Szczególnie owocny w udane wystawy był rok ubiegły. W czerwcu na wystawie dorocznej w Bibliotece 59 autorów pokazało 128 prac wykonanych różnymi technikami. We wrześniu w salach Muzeum Ziemi Lubuskiej odbyła się wielka wystawa „Plastyka nieprofesjonalna ziem nadodrzańskich”, w której wzięli udział przedstawiciele województw: wrocławskiego, opolskiego, legnickiego, zielonogórskiego, gorzowskiego, szczecińskiego i wrocławskiego.

skiego. Inicjatorem podobnych wystaw były w 1969 r. Lubuskie Towarzystwo Kultury oraz Wrocławskie Stowarzyszenie Plastyków Amatorów. Wystawę tę przenoszono do wszystkich miast wojewódzkich Nadodrze. Jej organizatorzy napisali w katalogu: „...plastyka amatorska — nie oznacza bynajmniej oceny wartości dzieła, mówi raczej o stopniu wykształcenia plastycznego, jakim dysponuje artysta w momencie twórczego startu oraz wykonywania tego zawodu. Sztuce obojętne jest, czy powstały obraz został stworzony przez malarza z ukończonymi studiami plastycznymi, czy też takiego, który dochodził do niego wyteżoną, samodzielną pracą. Dla SZTUKI ważny jest tylko wynik (...).” W grudniu w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki w Zielonej Górze była czynna XII Wystawa Poplenerowa Sekcji Plastyki Amatorskiej LTK. Aktywność zaiste godna podziwu.

Od kilku lat w Zakładowo-Osiedlowym Domu Kultury „Novita” w Zielonej Górze istnieje Sekcja Tkaniny Artystycznej. Gdzie jak gdzie, ale w Zielonej Górze, mieście włókienniczym i wielu artystów profesjonalistów, taka sekcja powinna być. Nie każdy może zostać członkiem tej sekcji, a jeśli już komuś się to uda, bierze w jej pracach naprawdę czynny udział, a nawet opłaca niemałe składki miesięczne. Na przełomie 1985/86 r. plastycy tkacze z „Novity” w Zielonogórskim Klubie MPIK wystawili 21 gobelinów; były to prace o różnym stopniu zaawansowania umiejętności artystycznych. Uwagę zwracały ładne pejzaże Lucyny Grabowskiej, „Owoc grzechu” Janiny Pietrzyckiej, „Zapada noc” i „Strach” Danuty Bolińskiej, a także gobelin Zofii Szadkowskiej „Abstrakcja”. Widzów zaskoczyła ciekawa kolorystyka i kłębska ekspozycja. W wystawie wzięło udział 13 autorek.

Fotografowanie jest równie trudne jak pisanie czy malowanie na szkle albo rzeźbienie w drewnie. Mimo to każdego roku powstają nowe sekcje fotograficzne w placówkach kultury — państwowych, zakładowych, spółdzielczych — które nigdy nie narzekają na brak zainteresowania swoją działalnością. W przeszłości fotografia cieszyła się większym powodzeniem młodzieży. Dziś trudno jest fotografować z braku materiałów, taniego sprzętu fotograficznego, chemikaliów i papieru. Wojewódzki Dom Kultury w Zielonej Górze stara się lągo-



FOT.: ZBIGNIEW WALEŃSKI

dzić trudności, pomagając w zakupie deficytowych materiałów i szkoląc instruktorów. W 1983 r. w WDK powstał Klub

Instruktorów, do którego należą instruktorzy fotografii zatrudnieni w placówkach kultury środkowego Nadodrze. Na comie

się spotkaniach omawiają oni własne prace, oglądają fotografie wykonane przez artystów, wysłuchują prelekcji krytyków sztuki. Efekty tego przedsięwzięcia są widoczne. Niektórzy instruktorzy należą do stowarzyszeń fotograficznych Ziemi Lubuskiej, gdzie są aktywnymi działaczami. W styczniu w Klubie MPIK w Zielonej Górze zorganizowano wystawę prac, które powstały w pracowniach fotograficznych domów kultury w Smardzewie Sulechowie, Nowej Soli, Kożuchowie, Gubinie i Zielonej Górze. Wyboru zdjęć dokonał opiekun artysty czny Klubu Instruktorów Fotografii WDK — Czesław Łuniewicz. W większości są one plonem pleneru kożuchowskiego, który odbył się w lipcu 1985 r. Stąd też na wielu fotografiach widnieją motywy architektoniczne zabytkowego Kożuchowa: 11 instruktorów, w tym 3 członków grupy „Nadodrze”, pokazało ponad 100 prac czarno-białych. Najwięcej prac wystawił Przemysław Kwaśnik z Sulechowa, który wydaje się być najbliższy uzyskania patentu artysty. Doskonale posługiwał się aparatem fotograficznym Zbigniew Waleński z Zielonej Góry, szczególnie wtedy, kiedy fotografował wnętrza kożuchowskiego zamku. Grzegorz Kwiecień wykonał chyba najautentyczniejsze zdjęcia prezentowane na tej wystawie — uchwycił najciekawsze twarze i ich gesty podczas zebrania wiejskiego. Portrety — dzieci, panienek starców — prezentowali: Dariusz Rotko z Czerwieniska, Antoni Barabas z Gubina, Kazimierz Jopek z Kożuchowa, Kazimierz Adamczewski z Zielonej Góry, a także G. Kwiecień i P. Kwaśnik. Jury wystawy zwróciło uwagę na wysoką jakość zdjęć — techniczną, edukacyjną, a i artystyczną. Większość instruktorów po raz pierwszy uczestniczyła w tak szerokiej prezentacji.

Czasem twórczość amatorów jest dopelnieniem twórczości profesjonalistów. Tym razem stanowiła ona moment zaskoczenia i była bliska doskonałości. Bowiem „o wartości dzieła sztuki decyduje przede wszystkim stopień szczerości artystycznej wypowiedzi oraz umiejętność jej przekazania. Cechy te są wynikiem odpowiednich predispozycji psychicznych twórcy i jego pracy nad samym sobą”.

EDWARD NOWAKOWSKI

LEGENDA O CUDOWNEJ LIPCE

Tuż przed Gwiazdką młody czytelnik otrzymał nową pozycję z serii legend i baśni środkowego Nadodrze. Tym razem Lubuskie Towarzystwo Kultury wydało „Przyjaźń drzewa do człowieka” autorstwa Tadeusza Jasińskiego. Książka zawiera trzy opowieści o niezwykłej lipie, która „rośnie wbrew naturze — korzeniami do góry. Jedni nazywają ją lipą sprawiedliwą, inni przekorną, a nawet krwawą lub dręczącą”. His torie owej lipy i ludzi, którym pomogła, związane są z Siedliskiem nad Odrą, miejscem znanym dziś z ruin zamku,

którego wielkość i urodę podpowiada nam może wyobraźnia. Akcja legendy toczy się po wojnie trzydziestoletniej w XVII wieku, gdy polskie dotąd Siedlisko dostało się pod panowanie niemieckiej rodziny Schoeneichów. Nowi właściciele korzystali ze wszystkich okazji, by upokorzyć swych polskich poddanych, i — jak mówi autor baśni — „odebrać (...) polskie prawa i ludzką godność”.

Ciekawo jesteśmy, dlaczego owa lipa rosnąć musiała korzeniami do góry? Otóż, zdarzyło się, że polski wójt nieśli sennie pomówiony został o zabiciu swego ojca. Skazanego na śmierć ocalili między innymi wiara ziomków i przyjaźń. Sędzia — Książę cofnął swój wyrok, ale wydał inny, bardziej przebiegły. Podał Piotra sądowi bożemu nakazując posadzić małą lipkę korzeniami do góry. Od tego, czy drzewko się przyjmie, zależeć miało życie niewinnego wójty. Podobna próba powtórzyła się wiele lat później. Tym razem ofiarą była sama Gertruda von Schoeneich, wrażliwa i dobra kobieta, oskarżona przez swego męża o wiarołomstwo. Książę również czekała, aby lipka przyświadczyła jej

prawdomówność. Ostatnia z opowieści zwiadała się z przypadkiem pasterza, któremu zginęły trzy owce. Surową kają za kradzież ukarał Wincentego, lecz ten pomysł, iż ogień lipka pomogła niewinnemu, postanowił w ostatniej swej próbie oczyścić się z podejrzeń. Jak wójt Piotr, i księżna Gertruda posadziła on drzewko, które rzeczywiście przyjęło się i zazieleniło. „Natomiast z prawdziwych korzeni, które krzyczały do słonecznego nieba o sprawiedliwość, ukształtowała się piękna korona i do dziś daje ona obszerny cień odwiedzającym to nie zwykłe miejsce nad wielką rzeką Odrą”.

II.

Bardzo zajmująco poprowadził akcję swych opowieści Tadeusz Jasiński. Historie o cudownym drzewku są żywe i ciekawe. Uwagę zwraca duży zasób słownictwa historycznego, nawiązującego do opisywanych czasów, jak — radio, gąsior, pręgierz, giermek. Bardzo cenne są objaśnienia owych terminów, zamieszczone pod właściwym tekstem. Z myślą o młodym czytelniku wyjaśniono również niehistoryczne, a trudniejsze

wyrazy, np. halucynacje, senior, lachy. Ta cecha książki, poza jej oczywistym związkiem z regionem Nadodrze, powoduje, iż chciałoby się włączyć legendy Jasińskiego, a może również innego autora, do zestawu lektur w szkołach lubuskich, z wykorzystaniem w formie teatralnej, pogadankowej, czy innej.

Zalet „Przyjaźni drzewa do człowieka” nie uszczupia zapewne uwagi, które koncentrują się wokół dwóch spraw — tytułu oraz osoby narratora. Autor, przynajmniej, nie ma szczęśliwej ręki do tytułów, począwszy od niezbyt zachęcającego — głównego, kończąc na nazwach poszczególnych części. Z ostatnią kwestią wiąże się niejednoznaczny stosunek narratora do przedstawionych wydarzeń. Zauważmy, że mówiąc o wójcie jako ojciec, o księżnej — wiarołomnej żonie, zaś o pasterzu jako złodzieju, narrator zajmuje postawę obserwatora ze strony tyrana Schoeneich-Carolathy Tymczasem — w toku akcji — postawa ta zmienia się i narrator utożsamia się z prześladowanymi mieszkańcami Siedliska. Do tych niekolekwności dorzućmy jeszcze i ten, że o losie wójty i księżnej dowiadujemy się pośrednio, dopiero

w ostatnim epizodzie. Wobec braku rozwiązania dwóch pierwszych części, nie wiemy od razu, czy lipa jest rzeczywistą „sprawiedliwą”. Okazuje się to później. Z kolei w „Lipie przekornej” występuje zbyt duży rozdźwięk między tragedią, śmiercią prawego rycerza Heinricha, samotnością wrażliwej Gertrudy, a tytułem opowieści. To nie lipa jest przekorna, lecz okrutny i przekorny zarazem jest młody książę, samodzielnie wymierzający sprawiedliwość. W trzecim przypadku — krwawy jest los nieszczęśliwego owczarza, natomiast lipa pozostaje wierna prawdzie.

Zwróćmy jeszcze uwagę na interesujące ilustracje Agaty Buchalik-Drzygzy, odwołujące się do autentycznego widoku zamku w Siedlisku. Szkoda jedynie, że obwołana jest tak ponura. Przydałaby się odrobina zieleni — przecież te baśnie są optymistyczne.

MALGORZATA KOWALSKA-MASŁOWSKA

Tadeusz Jasiński: „Przyjaźń drzewa do człowieka”. Wyd. Lubuskie Towarzystwo Kultury. Ilustracje Agaty Buchalik-Drzygzy. Zielona Góra 1985 r.



KSIĄŻKI

JĘZYK I POZNANIE

Droga do poznania otaczającego nas świata umożliwiają z jednej strony myślenie, a z drugiej język. Obie te kategorie są wzajemnie zdeteminowane. Tej m.in. kwestii poświęca swą kolejną książkę dr Augustyn MAŃCZYK, pisząc m.in. że: „Po to, by stałe wychodzić z mrocznego chaosu zjawisk i myśli, musimy nieprzerwanie korzystać z języka, a raczej z jego formy, w której świat nabiera znaczenia. Ale nie tylko świat jest oznaczany i nazwany przez język, również człowiek zdołał się przez ten określić”.

Owe specyficzne „zaślubiny” myśli i języka są do dziś przedmiotem licznych kontrowersji i sporów i nieporozumień. I są one uzasadnione, zważywszy ludzką ułomność w poznawaniu świata. Człowiek — według autora, obserwując i poznając rzeczywistość wyodrębnia z niej pew

ne fragmenty, wyrażając je w różnych językach. Języki są do siebie podobne, ale równocześnie różnią się między sobą, są różne w semantycznej konceptualizacji świata, a podobne w aspekcie funkcji, jakie spełniają.

Odmienne konceptualizacje językowe świata mają — według Mańczyka — od powiednio różne zakresy pojęciowe, jednak nie istnieją specyficzne sposoby poznania, uzależnione od specyfiki języka. Odbicie rzeczywistości jest kategorią po nadjęzykową, kategorią, która konstytuuje bezpośrednio świat doświadczeń człowieka. Relacje semantyczno-gramatyczne w poszczególnych językach są przez ludzi tak samo odzwierciedlane, jak przedmioty i zjawiska świata zew nętrznego.

Otoczający nas świat jest w zasadzie podobny wszystkim ludziom, ale zarażem wymusza on niekiedy na człowieku swój sposób istnienia i przydatności, współokreśla zachowanie (także językowe) człowieka wobec człowieka. To jed na stronę zagadnienia. Z drugiej natomiast, opisując różnice (strukturalne, semantyczne) między językami trzeba także ustalić do jakiej się one rzeczywistości odnoszą oraz jakie elementy rzeczywistości przyjmują te języki za swoje właściwe cechy, wyróżniające zjawiska językowe.

O tych kwestiach traktuje druga część pracy A. Mańczyka. Autor podjął w niej próbę wyjaśnienia zależności między sferą poznania a sferą komunikacji na podstawie procesu metabazizmu myślowo-językowego w aspekcie różnic se-

mantycznych między wybranymi językami. Celem opisu tych zależności było bliższe dotarcie do istoty koncepcji de terminizmu językowego. Z tych uwag autora wysnuć można by trzy podstawowe konstatacje:

1. Wszelkie poznanie uzależnione jest od języka, który pojmować należy jako zdolność ludzi do tworzenia i wyrażania wypowiedzi.
2. Specyfika poznania rzeczywistości poprzez dany język (lub w danym języku) wyraża się innym poziomem i zakresem interpretacji w porównaniu ze „specyfiką” poznania w innym języku.
3. Każdy język jako produkt i funkcja społeczeństwa, odzwierciedla w sposób niepełny obiektywne stosunki społeczne oraz stosunki panujące w rzeczywistości pozajęzykowej.

Tak określony zakres problemu przez autora rozpatrywany jest przez niego z językoznawczego oraz teorii poznawczego punktu widzenia. Ten drugi aspekt problemu porusza Mańczyk w pierwszej części swej pracy, która dotyczy historii kształtowania się poglądu o determinującej funkcji języka w procesach myślenia i poznania, począwszy od okresu Oświecenia aż do współczesności. Omówiono m.in. myśl filozoficzno-językową J. G. Herdera, W. Humboldta, J. Baudouina de Courtenaya, L. Wittgensteina, E. Sapira, B. Lee Whorfa i L. Weisgerbera (któremu poświęcił A. Mańczyk rozprawę doktorską).

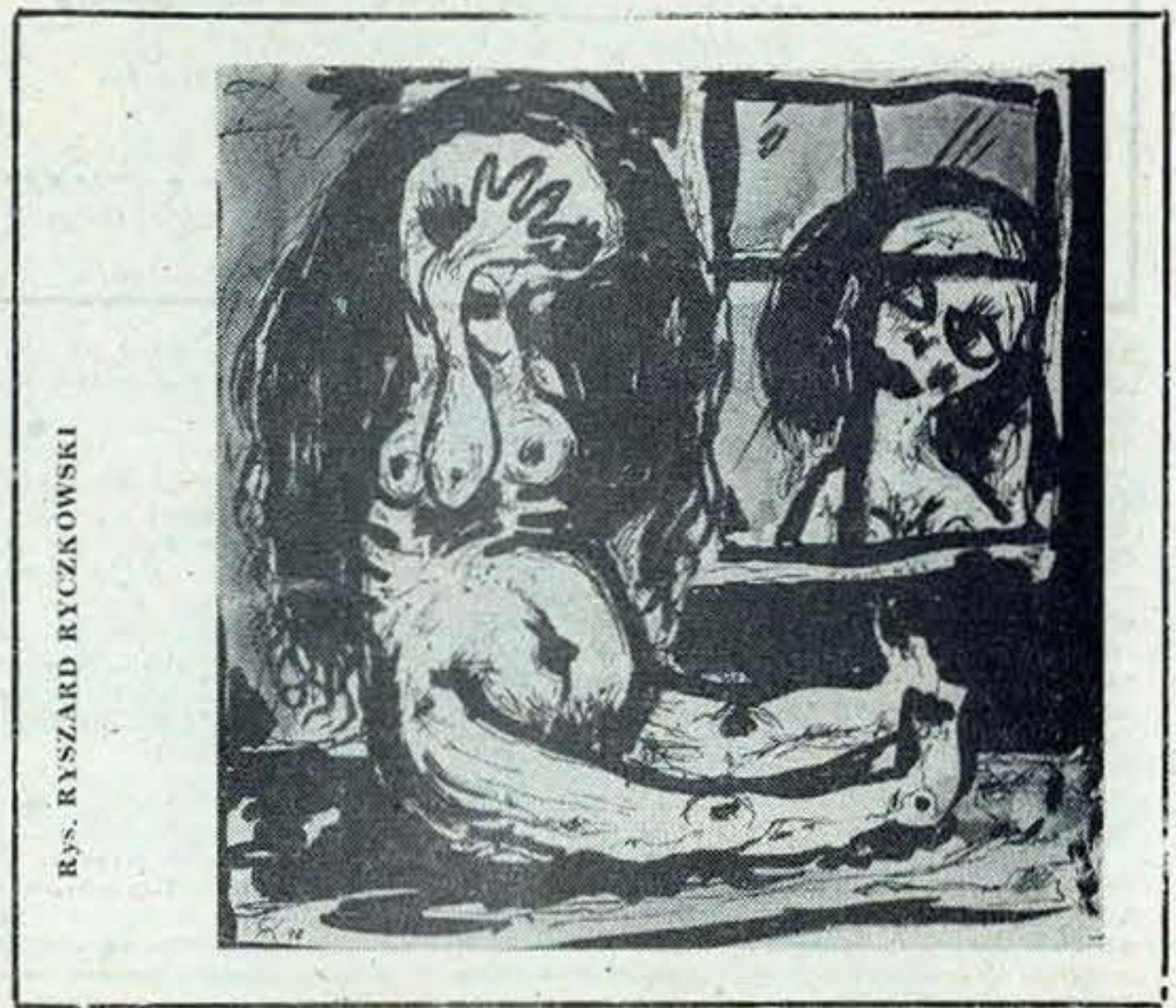
Bez tych uśag trudno by było zrozumieć rozważania autora zawarte w dru

giej części pracy. Stanowią one niejako organiczne wprowadzenie do zasadniczego problemu poruszanego w książce, a mianowicie kwestii różnic językowych w kontekście problemu poznania. Autor stwierdza dobitnie w zakończeniu, iż nie chciał ukazać odbiorcy problemu rozdwojenia świata, lecz jego złożoność i problematyczność. Podjął ciekawą pró

bę interpretacji tego zagadnienia po to, żeby zdobyć o nim nowy, inny pogląd.

WIESŁAW HŁADKIEWICZ

Augustyn Mańczyk: „Różnice językowe a problem poznania”. Zielona Góra 1985. Wyd. WSP. Nakład 250 + 80 egz. Stron 192. Cena 120 zł.



rys. RYSZARD RYCZKOWSKI

RENEZANS ZSP?

W styczniu br. w Zielonej Górze odbyło się spotkanie aktywistów Zrzeszenia Studentów Polskich z ziem zachodnich. Zostało ono zorganizowane z inicjatywy Rady Okręgowej ZSP. Wzięli w nim udział obok działaczy ZSP z WSI i WSP także przewodniczący rad okręgowych ze Szczecina, Wrocławia i Poznania. W spotkaniu tym uczestniczył również sekretarz Rady Naczelnej ZSP Piotr Kucharski.

Celem spotkania była ocena dotychczasowej działalności tej organizacji. Podsumowano osiągnięcia i ujawniono braki w zakresie aktywności kulturalnej, naukowej, turystycznej oraz ideowej — wychowawczej. Poruszono także kwestie związane z problemami socjalno-bytowymi studentów.

ZSP powstało w listopadzie 1982 r., jako kontynuator socjalistycznego ruchu studentów w Polsce. Rozdzieli się w trudnej sytuacji. Był to przecież jeszcze okres trwania stanu wojennego. Organizacja spotkała się wówczas z przejawami wrogości ze strony b. członków Niezależnego Zrzeszenia Studentów Polskich oraz innych grupowań o pozycjach, działających w środowisku akademickim.

Jak przedstawia się sytuacja Zrzeszenia Studentów Polskich w dniu dzisiejszym? Na to pytanie próbowało odpowiedzieć podczas spotkania. Zrzeszenie w roku akademickim 1986/7 rozpoczęło działalność w warunkach nowelizacji ustawy o szkolnictwie wyższym. „Na XII Kongresie ZSP opowiedzieliśmy się za zmianami w Ustawie. W dniu dzisiejszym zmiany te są faktem, chociaż nie wszystkie nowe rozwiązania są zgodne z naszymi postulatami. Spadła na nas część odpowiedzialności za to, co się dzieje w polskich uczelniach. Niewątpliwie musimy temu sprostać. Tego wymaga tradycja i dorobek ruchu studentckiego w Polsce, ale także i interes organizacyjny” — stwierdził w swoim wystąpieniu Juliusz Niewinowski, przewodniczący RO ZSP w Zielonej Górze.

Kolejny problem, który stoi przed ZSP, to sprawa młodej inteligencji, „gospodarowania” jej potencjałem intelektualnym. Będzie o tym mowa podczas obrad III Kongresu Nauki Polskiej. ZSP musi więc ożywić dyskusję na ten temat wśród studentów i młodych pracowników nauki. Obecna sytuacja w szkolnictwie wyższym wymaga od organizacji podjęcia działań zwiększających motywację do nauki i ożywienia studenckiego ruchu naukowego.

Niepokojąca jest sytuacja, w jakiej znalazł się ruch kulturalny w środowisku akademickim. Najbardziej aktywne grono aktywistów kultury ZSP stanowią ci, którzy chcą na niej zarabiać. W kulturze studenckiej pojawiła się próżnia personalna i ideowa. Bardzo ważnym zadaniem ZSP jest systematyczna odbudowa studenckiego ruchu kulturalnego.

Jednym z zadań ZSP jest umożliwienie kontaktu studentów z jednostkami gospodarki społecznej, który przynosi korzyść studentom i zakładom pracy. Takie możliwości stwarza „Student — Service”, umożliwiając studenckie usługi zgodnie z zapotrzebowaniem jednostek gospodarki społecznej.

Trzydniowy kongres funkcjonowania ZSP uodowodnił w wielu przypadkach, że nadal organizacja nie ma jednoznacznie określonej roli w strukturach i biurami organizacji a radami uczelnianymi, okręgowymi czy Radą Naczelną. W ubiegłym roku został wprowadzony system oceny kadry ZSP. W tym problemem staje się funkcjonowanie w ZSP społecznych komisji i rad. Ich aktywność jest nadal słaba. W dalszym ciągu istnieje duża płynność kadry, co nie sprzyja planowości i terminowości podejmowanych przez ZSP działań.

ZSP ciągle znajduje się w stadium organizacyjnym. Powinno działać głównie na wydziałach uczelni. Rady wydziałowe powinny zwiększyć bazę członkowską, uaktywnić członków ZSP, wyłonić najzdolniejszych, lepiej reprezentować interesy studentów.

Nową szansą dla ZSP są coraz częściej organizowane praktyki studenckie. Mogą one zastąpić kosztowne obozy adaptacyjne, co pozwoliłoby Zrzeszeniu na organizowanie dla aktywistów większej ilości obozów szkoleniowych. Organizowanie praktyk dla nowoprzyjętych studentów na pewno zwiększy szansę umocnienia ZSP już na pierwszym roku. Organizacja nadal potrzebuje umocnienia wewnętrznej spójności i tożsamości. Wykazy przeprowadzonych dotąd badań i ankiet powinny być dla aktywistów organizacji źródłem wiedzy o sytuacji w środowisku akademickim.

Obszarem, gdzie w sposób szczególnie niekorzystny odbija się brak dyscypliny i więzi z organizacją, jest działalność propagandowa. Tu potrzebna jest szybka i rzetelna informacja, dbałość o to, by przy każdej możliwej okazji pokazywać i podkreślać zasługi organizacji. ZSP jako organizacja społeczna zawodzi, nie spełnia jednocześnie funkcji polityczno-wychowawczej, uczestniczy w kształtowaniu socjalistycznej świadomości i poglądów i postaw młodej akademickiej. Stąd wynika potrzeba m.in. cyklicznych spotkań aktywistów ZSP z władzami politycznymi województwa, miasta i obu wyższych uczelni Zielonej Góry.

Najważniejszym wydarzeniem politycznym w Polsce i w ZSP będą obrady X Zjazdu PZPR. Okres kampanii przedzjazdowej winien być okresem szczególnej mobilizacji programowej wszystkich członków partii działających w Zrzeszeniu Studentów Polskich. Dyskusja nad programem partii powinna objąć wszystkich członków ZSP, niezależnie od ich organizacji światopoglądowej czy przynależności partyjnej. Ideowo-wychowawczy status Zrzeszenia — to szansa uzyskania politycznej podmiotowości organizacji w uczelni i regionie.

WIESŁAW HŁADKIEWICZ

GÓRZÓW. Od zawiązania się Komitetu Czynu Społecznego na Rzecz Teatru im. Juliusza Osterwy upłynęło już trochę czasu. Komitet powstał z inicjatywy miejskiej organizacji partyjnej. Gmach teatru wymaga natychmiastowego gruntownego remontu, którego nie jest w stanie wykonać dyrekcja Teatru bez pomocy gorzowskich zakładów pracy. Dyrektor Teatru Antoni Banlukiewicz powołał przedstawicieli „Gazety Lubuskiej”. Już skonkretyzowano bardzo wiele propozycji. Gorzowskie Przedsiębiorstwo Przemysłu Drzewnego przysłało nam drewno potrzebne na wymianę podłóg w garderobach, części administracyjnej oraz na drzwi boczne i inne potrzeby. Spółdzielcze Przedsiębiorstwo Budowlane nieodpłatnie wykona remont dachu. „Przemysłówka” podjęła się budowy garaży dla naszych autobusów — z własnych materiałów; Gorzowski Kombinat Budowlany wybuduje na podobnych zasadach ogrodzenie wokół posesji i doprowadzi do porządku park teatralny. Chcemy, by stanęła tu letnia kawiarenka, z której będą korzystać widzowie w czasie przerwy. Wystroju bufetu podjął się Gózet. Przedsiębiorstwo Zrebrzo zaoferowało nam pomoc finansową, a Rejonowa Dyrekcja Inwestycji Miejskich — fachowe doradztwo i nadzór. (...) Na tym nie kończą się potrzeby remontowe teatru. Mamy niedoskonałe oświetlenie i ogrzewanie. Zleciliśmy wykonanie ekspertyzy c.o., a także dokumentacji na oświetlenie. Nasz hall teatralny jest źle oświetlony, powinniśmy zainwestować w okazale kandelabry, jak przystało na taką placówkę. Wiele z wymienionych tu prac można będzie wykonać w najbliższych miesiącach, tak że już na tegoroczne Gorzowskie Spotkania Teatralne teatr będzie prezentował się znacznie lepiej”. Na czele Komitetu stoi I sekretarz KM PZPR, Mariusz Erdman.

Dowiedzieliśmy się, że udział w tegorocznych Gorzowskich Spotkaniach Teatralnych zapowiedzieli: Teatr Narodowy z nieustaloną jeszcze pozycją, Teatr im. Stefana Jaracza z Łodzi z „Ferdynandem” W. Gombrowicza, Teatr „Wybrzeże” z Gdańska prawdopodobnie z „Wiśniowym sadem” Czechowa, Teatr Współczesny ze Szczecina z „Matką” Witkiewicza, a także Pantomima z Wrocławia i być może teatry z Krakowa i Poznania.

ZIELONA GÓRA. Odbyło się zebranie sprawozdawczo-wyborcze zielonogórskiego Oddziału Związku Literatów Polskich, podczas którego podsumowano trzydniowy dorobek twórczy i organizatorski lubuskiego środowiska literackiego. Oddział był m. in. współorganizatorem Dni Literatury Radzieckiej w 1983, 1984 i 1985 r., które towarzyszyły festiwalowi piosenki radzieckiej, Dnia Literatury Lubuskiej w Kozuchowie w 1985 r., spotkań autorskich z czytelnikami. Do zielonogórskiego oddziału aktualnie należy 11 członków i 2 kandydatów, kilka osób ubiega się o przyjęcie do ZLP. Podczas zebrania wybrano nowy Zarząd: prezes — Janusz Koniusz, sekretarz — Czesław Sobkowiak, skarbnik — Henryk Szyłkin; Komisję Rewizyjną: przewodniczący — Wiesław Sauter, członkowie — Michał Kaziów i Mieczysław Warszawski. Delegatami na I Zjazd Związku Literatów Polskich, który odbędzie się w lutym, wybrani zostali — Czesław Sobkowiak i Henryk Szyłkin.

☆ Jubileusz czterdziu lat pracy artystycznej i pedagogicznej obchodził Stanisław Hajzer, znakomity skrzypek Filharmonii Zielonogórskiej, działacz społeczny i wychowawca młodzieży. S. Hajzer urodził się na Śląsku Cieszyńskim, po ukończeniu studiów w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej w Katowicach rozpoczął pracę w kapeli Państwowego Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk”. W 1961 r. przeniósł się do Zielonej Góry i zaangażował się do zespołu orkiestry symfonicznej, tworząc z Narcyzem Żołnowskim Kwartet Lubuski. Jednocześnie rozpoczął pracę w zielonogórskich szkołach muzycznych jako nauczyciel klasy skrzypiec. Wychował wiele znakomitych skrzypków, m.in. Stefana Czermarka, obecnie docenta w Akademii Muzycznej we Wrocławiu, Zbigniewa Jarmuza — koncertmistrza altówek w Filharmonii Poznańskiej, Dorotę Siudę, Jarosława Żołnowskiego, Roberta Bejtlicha, Małgorzatę Baryłę. Obecnie S. Hajzer jest jednocześnie koncertmistrzem Filharmonii Zielonogórskiej, wykładowcą Akademii Muzycznej w Bydgoszczy i profesorem Państwowej Szkoły Muzycznej I i II Stopnia w Zielonej Górze. Za swoją działalność artystyczną i pedagogiczną otrzymał wiele nagród i wyróżnień, m.in. Nagrodę Kulturalną „Nadodrza” w 1983 r. W jednym z najbliższych numerów opublikujemy reportaż Anny Bułat-Raczyńskiej o jubileuszu.

STOWARZYSZENIE WISŁA-ODRA. W Poznaniu odbył się I Krajowy Zjazd Stowarzyszenia Wisła-Odra. W styczniu we Wrocławiu obradowali działacze Stowarzyszenia, do którego należą m.in. aktywiści byłych organizacji: Polskiego Związku Zachodniego, Związku Polaków w Niemczech, Towarzystwa Rozwoju Ziemi Zachodniej. W większości województw istnieją struktury organizacyjne Stowarzyszenia, w 15 powstały grupy inicjatywne. Podczas Zjazdu Wojewódzkiego w Gorzowie wybrano 9-osobowy Zarząd, na czele którego stanął dr Arkadiusz Ogrodowczyk, pracownik naukowy Wydziału Zamiejscowego AWF. Gorzowskie Stowarzyszenie na Krajowym Zjeździe reprezentowało 5 delegatów. Na czele Zarządu zielonogórskiego stanął red. Tadeusz Kajan, dziennikarz „Trybunu Ludu”. Zielonogórską organizację reprezentowało w Poznaniu 7 delegatów. Członkowie Stowarzyszenia aktywnie włączali się w obchody rocznicy wyzwolenia miejscowości Ziemi Lubuskiej. Stowarzyszenie przyjęło patronat nad budową Szkoły Pomnika Rodła w Dąbrowce Wielkopolskiej.

MŁODZIEŻOWY PRZEGLĄD PIOSENKI. Z udziałem 22 zespołów i solistów. W Międzyrzeczku odbyły się eliminacje wojewódzkie Przeglądu. Komisja kwalifikacyjna zgłosiła do udziału w eliminacjach strefowych, które odbędą się w Choszcznie, zespoły: „El Combo” i „Pozew” ze Ślubie, „Raja Bess” z Choszczyna i „Edukacja T.” ze Strzelca oraz solistę Piotra Siewruka z Myśliborza. Eliminacje zielonogórskie odbyły się w Zarach. Jury po wysłuchaniu 11 zespołów muzycznych nagrodziło: „ASO” ze Świebodzina, „After Grass” z Sulechowa i „Montowana Pakę” z Wolsztyna. Finały Przeglądu odbędą się w kwietniu we Wrocławiu.

W TEATRACH NADODRZA. Szczecin: Polski — „Sługa Don Kiszota”, „Mąż i żona”, Współczesny — „Policja”; Gorzów — „Krakowiacy i Górale”; Zielona Góra — „Słuby panieńskie”, „Wyzwolenie”; Legnica — „Dziady”, „Straszny smok”; Jelenia Góra — „Skarby i upiory”, „Letni dzień”, Wałbrzych — „Król Maciuś I”; Opole — „Mały książę”, „Kajus Cezar Kaligula”.

ZAPROSILI NAS: „Alma-Art” w Kielcach na 13 Ogólnopolski Przegląd Studenckich Teatrów Debiutujących — Start; Lubuskie Towarzystwo Kultury na otwarcie wystawy prac Adama Konsewicz z Nowej Soli; Biuro Wystaw Artystycznych w Gorzowie na otwarcie wystawy — grafiki Magdaleny Cwiertni i rzeźby Władysława Ostrowskiego; Klub Międzynarodowej Prasy i Książki w Zielonej Górze na otwarcie wystawy fotograficznej Klubu Instruktora Fotografii WDK; oraz Zagłębski Pałac Kultury na cykl imprez organizowanych w czasie ferii szkolnych. Dziękujemy.

NADODRZE

OWYTOGOSKONNIE SPOŁECZNEGO KULTURALNY
ORGAN LUBUSKIEGO TOWARZYSTWA KULTURY

ADRES REDAKCJI: 65-007 Zielona Góra, pl. Bohaterów Stalingradu 13 i p. oraz adres dla korespondencji: 65-008 Zielona Góra skrytka pocztowa nr 40. Telefon: redaktor naczelny i sekretarz — 708-33, sekretarz redakcji — 39-13 oraz centrala — 46-61 do 7. Telex: 170-170. Telefax — 043-2252. REDAGUJE ZESPÓŁ: Halina Ańska-Skarżek, Lucyna Grabowska, Leszek Hermanowicz (red. graf. tech.), Michał Horowicz, Janusz Koniusz (red. naczelny), Zenon Łukasiewicz (z-ca red. naczel.), Wiesław Nodzyński (sekretarz red.), Piotr Piotrowski (statysta), Ryszard Rowiński, Alfred Siatecki. KO-



REKTA: Maria Fiedorowicz, Elżbieta Nesterow, sekretariat redakcji: Elżbieta Walenska, WYDAWCA: RSW „Prasa-Książka-Ruch” — Zielonogórskie Wydawnictwo Prasowe, al. Niepodległości 25 65-042 Zielona Góra skrytka pocztowa 51. Centrala telefoniczna 46-41 do 87. Dyrektor Zbigniew Pietkiewicz, tel. 11-755. DRUK: Drukarnia Prasowa ZWP, 65-078 Zielona Góra, ul. Reja 3. OGŁOSZENIA PRZYJMUJE: Biuro Reklam i Ogłoszeń Zielonogórskiego Wydawnictwa Prasowego RSW „Prasa-Książka-Ruch” 65-042 Zielona Góra, al. Niepodległości 25 oraz wszystkie biura ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch” na terenie całego kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Materiałów (tekstów i fotografii) nie zamówionych redakcją nie zwraca. W przypadku wykorzystania nie zamówionych materiałów redakcja zastrzega sobie prawo skrótów i zmian tytułów.

I-18

NAJLEPSZA DZIESIĄTKA

KLUBOWE WIZYTOWKI

W końcu stycznia w klubie „Eskulap” Zakładowego Domu Kultury w Ciężkowicach odbył się konkurs — plebiscyt, zorganizowany już po raz drugi w województwie zielonogórskim, pod nazwą „Klubowy Laur”.

W pierwszej edycji konkursu uczestniczyli również kluby rolnicze, prowadzone przez większą spółdzielczość. W obecnym wzięły udział wyłącznie kluby Prasy i Książki RSW oraz niektóre inne wiejskie ośrodki kultury.

Podczas uroczystości, dziesięć najlepszych i najbardziej aktywnych placówek uhonorowano nagrodami i wyróżnieniami. Wśród nich znalazły się placówki w Chotkowie, Chwaliszewicach, Żarkach Wielkich, Łagowie k. Krosna, Łasocinie, Nowym Kramsku, Swarżewicach, Niwiskach i Piaskach oraz gospodarstwo uroczystości — klub „Eskulap” ZDK w Cichorzu.

Przypomnijmy, iż organizatorami konkursu — plebiscytu na sześciu wojewódzkim — w myśl założeń regulaminowych — byli: Zarząd Wojewódzki ZSPM, Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego, Kuratorium Oświaty i Wychowania, RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Wojewódzki Związek Spółdzielczości Rolniczej, Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna, Wojewódzki Dom Kultury, redakcja „Nadodrza” i „Winnicy”.

Konkurs — plebiscyt o „Klubowy Laur” obejmował całokształt działalności wiejskich ośrodków kultury i stwarzał różnorodność możliwości ukazania do roku najlepszych placówek oraz najaktywniejszych organizatorów działalności

kulturalno-oświatowej na wsi, często dotąd mało dostarczających i docenianych, pracujących również w niełatwych, uciążliwych warunkach lokalnych. Intencją konkursu było także stwarzanie warunków do odradzenia się ruchu klubowego, przywracania na właściwe miejsce klubów w rozwoju i kształtowaniu życia społeczno-kulturalnego i pobudzania społecznych inicjatyw kulturalnych. Jak dowiodła praktyka, ta tendencja klubowego plebiscytu w dużym stopniu spełniła swoje zadanie, co podkreślono również podczas uroczystości rozdania nagród.

W podsumowaniu uczestniczyli przedstawiciele nagrodzonych ośrodków kultury, a także — Barbara Fijałkowska, dyrektorka Wydziału Kultury i Sztuki UW, Michał Rybarczyk, kierownik Wydziału Kultury ZG ZSPM, Wiktor Fanałło, przewodniczący ZW ZSPM, Jan Tadroński, dyrektor RSW „Prasa-Książka-Ruch”, jego zastępca Albin Kłos oraz inni zaproszeni.

Jan Tadroński wręczył pisma gratulacyjne przedstawicielom społecznych rad klubów i ich gospodarzom, którzy znaleźli się wśród laureatów. Wszystkim laureatom przyznano również nagrody po 50 tys. zł z przeznaczeniem na zakup sprzętu audiowizualnego. Natomiast Klub Prasy i Książki w Chwaliszewicach otrzymał nagrodę ufundowaną przez Kuratorium Oświaty i Wychowania — klub gospodarzy „Eskulap” — nagrodę Wydziału Kultury i Sztuki UW.

Wielką radość wśród laureatów konkursu wzbudziły nagrody, ufundowane

przez ZW ZSPM w Zielonej Górze. O toż, organizacja młodzieżowa ufundowała nagrody w postaci wycieczek do NRD dla trzech osób z każdego klubu. Zdobywcom „Klubowego Lauru” wręczono także pamiątkowe proporzeczki z napisem „Złota dziesiątka we współpracy z „Klubowy Laur”.

W części artystycznej wystąpił dziecięcy teatrzyk amatorski „Wiewiórki”, stworzony i prowadzony przez kierowniczki klubu „Eskulap” — Barbarę Silną.

— Jak to będzie z tymi wycieczkami, przecież chętnych nie zabraknie? — za pytałem Irenę Gaję z klubu w Nowym Kramsku.

— Jak ma być? Mamy tylko trzy miejsca a w społecznej radzie klubu aktywnie działa o wiele więcej osób. Pojadą przede wszystkim ci, którzy w społecznym uznaniu najbardziej sobie na to zasłużyli.

— A jak będzie u was? — Zwróciłem się do Marii Jarczyk z klubu w Piaskach.

— Jeszcze nie wiem. Musimy to ustalić na ogólnym zebraniu rady klubu. W razie potrzeby — będziemy losować. Podobno jest to najlepszy sposób, gdy nie ma innych...

— A na co przeznaczycie uzyskane w nagrodę pieniądze?

— Chcielibyśmy bardzo mieć projektor filmowy. Mamy w Piaskach ludzi, posiadających uprawnienia do obsługiwanego tego sprzętu. A filmy możemy przecież wypożyczać.

O projektorach filmowych marzą także działacze z Niwisk i pewnie i wielu innych wiejskich ośrodków kultury. Ale w obecnej sytuacji rynkowej nie zawsze jest to możliwe. Niemniej, potrzebne są takie istniejące, ponieważ — pomimo kryzysu — wzrastają ambicje i aspiracje mieszkańców wsi, a zwłaszcza potrzeba by kulturalne ludzi młodych.

ZENON CZARNECKI

SPROSTOWANIE

W drugim tegorocznym numerze „Nadodrza”, w recenzji z „Wyzwolenia na lubuskiej scenie” błędnie napisałam: „Natomiast niejasno i mgliście przedstawiony został obraz „Świętej Rodziny” oraz postać Hesti”. Postać Hesti występuje w „Wyzwoleniu”, natomiast w spektaklu jej nie ma.

Za pomyłkę wszystkich Czytelników i realizatorów spektaklu bardzo przepraszam.

ANNA DZIECHCIAROW

P.S. przy okazji pragnę sprostować następujące błędy:
1. Jest Hosti — powinno być Hesti
2. Jest Sybinek — powinno być Sybirak
3. Jest Konrad (...) głoszący duchowemu wództwu Genusza, a powinno być „głoszący sprzeciw duchowemu wództwu Genusza”.

A.D.

Książki nadesłane

Poradnik dla radiowców zakładowych

W Katowicach ukazała się cenna publikacja Jerzego Przybyły, zatytułowana „Organizacja radia zakładowego”. Po nieważ i na Ziemi Lubuskiej, zwłaszcza w większych zakładach pracy, działają zakładowe radiowce, warto ją spopularyzować, polecając wszystkim zainteresowanym.

Książka powstała w wyniku wieloletnich doświadczeń i zainteresowań zawodowych autora, a jej promotorem jest wybitny prawnik doc. dr hab. Bogdan Michalski, dyrektor Instytutu Dziennikarstwa Uniwersytetu Warszawskiego. Píše on m.in. w przedmowie: „Cenną

rzeczą są, niezależnie od części instrukcyjnej, wzory regulaminów wewnętrznych, cenników i unormowań organizacyjnych klubów u kursów (dziennikarzy zakładowych radiowców — nasz przyp.). Książka daje podstawowe wiadomości i dlatego jest wysoce przydatna dla każdego pracownika radiowca. Równocześnie polecamy ją dziennikarzom i studentom dziennikarstwa. Pozwoli im to zorientować się w problematyce dla wielu dotychczas mało znanej”.

Publikacja Jerzego Przybyły, opracowana w oparciu o Prawo Prasowe, wnosi wiele wiedzy teoretycznej jak i wniosków, wynikłych z autorskiej praktyki. „Od wielu lat — pisze dalej doc. B. Michalski — autor jest związany ze środowiskiem górnośląskim i w znacznym stopniu jego książka uwzględnia problematykę tego środowiska. Posiada ona jednak wartości uniwersalne dla wszystkich pracowników radiowców. W sposób zwięzły autor przedstawia stan prawny, sprawy organizacyjno-programowe oraz udziela wielu praktycznych wskazówek w różnych dziedzinach omawianej działalności”.

Książkę można zamawiać u wydawcy, którym jest Wojewódzki Ośrodek Kultury w Katowicach, ul. Plebiscytowa 1.

namigi

Była mała, bladym kółkiem zaznaczona na mapie, i z początku wcale nie zielona, tylko biała, przyprószona śniegiem, bo panował wtedy luty, jak teraz. Widać było, że jest dosyć stara. Ale w miarę przybywania ludzi młodziła i weselała z każdym dniem.

Ci, którzy przyjechali zaraz po wyzwoleniu, zachowali w pamięci jej obraz z tamtego okresu. Nie jest to obraz jej noli, nawet różni się szczegółami, lecz jedno się zgadza: że była całkiem, ale to całkiem nie podobna do dzisiejszej Zielonej Góry.

Miała trzy aleje: Morwową, Słowackiego i Anny Jagiellonki, trzy rynki: Stary, Drzewny i Zbożowy, pięć placów: Bohaterów, Lenina, Słowiański, Wielkopolski i Marszałka Roli-Zymierskiego oraz pięć osiedli: Grunwaldzkie, Robotnicze, Żółkiewskiego, Wypoczynek i Wygoda. W „Informatorze m. Zielonej Góry” wydrukowanym jesienią 1945 roku przez „Zakłady Graficzne pod zarządem państwowym w Zielonej Górze” (zachowanym w zbiorach kolekcjonerskich Zdzisława Piotrowskiego), spis alfabetyczny obejmuje 170 ulic.

Była gościnna, pełna smacznego jedła, napitku, wygodnych miejsc do spania oraz innych atrakcji. Wejść goście, nie pożałujecie! Oto kilka ofert. Hotel „Pod Białym Orłem” Romana Świątalskiego, Szeroka 77: „pokoje do wynajęcia, restauracja, dancing”. Pensjonat „Barbarka” Marty Pinińskiej, Generalissimusa Stalina 14: „pokoje, śniadania, obiady, kolacje, bridgeclub”. Hotel „Parkowy” Izabelli Dobiaszowej, 3 Maja 50: „kawiarnia, restauracja, pokoje gościnne z wodą bieżącą, kąpiel ciepła i zimna, garaż, sala dancingowa, codzienny koncert”. Hotel i restauracja „Polonia” Józefa Michalaka, Kopernika 14: „pokoje, śniadania, obiady, kolacje, zimny i ciepły bufet, wyborowe napoje”. Kawiarnia „Wielkopolska” Edmunda Lupy, Stary Rynek 20: „codziennie koncerty, śniadania, obiady, kolacje, wyborna kawa i ciastka, wódki gatunkowe, ciasta poza dom”. Cukiernia „Zaczęło”, Rynek Zbożowy 4: „wybór ciastek, prawdziwa kawa, ceny przystępne, cicho, spokojnie, przytulnie”.

Przy ul. Matejki konkurowały ze sobą: restauracja i hotel „Obywatelski” Józefa Oleszczaka pod nr 32 — i „Restauracja Korpusu Śpiwaków Ziem Zachodnich” pod nr 23, a na 3 Maja dwa hotele: „Polski” Maksymiliana Bocera pod nr 20 i „Victoria” Aleksandra Dawida pod nr 97. Na 3 Maja moż na też było spać na śniadanko do „Probierni-Sniadalni” Franciszka Hajdrowicza. W sumie było w mieście 14 restauracji i 9 kawiarni.

Bardzo różnorodny był handel. M.in. czternaście sklepów kolonialnych, 13 spożywczych, 11 „składów opałowych”, 12 „składów tytoniowych”, sklepy żelaza,

TAKA, JAKĄ BYŁA

zboża i paszy, 9 owocarni, 8 sklepów ze słodyczami, 7 z nabiałem i 7 z galanterią. Papier i książki nabywano m.in. u Franciszka Baksalarego, przy ul. Sobieskiego 5, u Kazimierza Malickiego przy ul. Pocztowej 3, u Braci Iwańskich przy ul. Żeromskiego 6 oraz parę domów dalej u Haliny Bogaczyk, która prowadziła również dewocjonalia, zabawki, stempie, znaczki pocztowe, nasiona oraz sprzedaż i kolportaż gazet.

Jakbyśmy to dziś ślicznie powiedzieli „usługi dla ludności” wykonywało m.in. 15 zakładów szewskich i tyle samo krawieckich, trzy szklarnie i trzy introligatornie, 11 stolarni, 7 zakładów radiotechnicznych oraz tyle samo pralni z macłowaniem i prasowaniem, 16 warsztatów mechaniczno-słusarskich, 12 firm malarzy pokojowych i dwie kuźnie.

„Wedliniarstwo. Sylwester Wróblewski, Pionierska 83, na składzie codziennie świeże wedliny oraz mięso”. Tak reklamował się jeden spośród 35 mistrzów rzeźniczych, którzy prowadzili własne masarnie. Świeży chleb oraz dzisiejszy symbol dostatku — chrupiące bułeczki, można było kupić codziennie w 47 piekarniach, a właściciele sami ubiegali się o klientów. „Piekarnia i cukiernia Krajewskiego, Pionierska 47, codziennie wypiek chleba, najprędzej ciasta i torty, dostawa przez dom”. Albo: „Dwa razy dziennie świeże pieczywo oraz ciastka we wszystkich gatunkach nabędziesz w firmie Czesław Wolicki, 3 Maja, narożnik Reja”.

Kwitła w „Zielonej Górze” produkcja win, soków, marmolady, wódek, likierów, koniaku, piwa, octu, oleju, musztardy, kaffi, pieców, wody sodowej i mineralnej, garmków, eliniowych, flau, pantofli i gramofonowych płyt, przy ul. Dąbrowskiej 4 działała odlewnia „Zelino”. Kwitły także liczne sady i ogrody — pełne owoców, warzyw i kwiatów.

W „Informatorze” pod „A” figurują dwie akuszerki oraz trzy apteki: „Pod Koroną”, „Pod Lwem” i „Pod Orłem”. Dalej są adresy czterech zakładów dentystycznych, sześciu gabinetów lekarskich i Lecznicy Powiatowej.

Funkcjonowały liczne instytucje, np.: „Koncesjonowane Biuro Buchalterijne, Jan Wielebiński, 3 Maja 71”, „Powiatowe Biuro Informacji i Propagandy, Plac Lenina 7”, „Biuro Rolne przy ul. Generalissimusa Stalina 15, załatwiają wszelkie sprawy wchodzące w zakres drobnego rolnictwa”. Były dwa sady: grodzki i okręgowy. Bank, Urząd Skarbowy oraz „Tymczasowy Zarząd Państwowy nad nieruchomością niemieckimi i porzuconymi”. Przy ul. Grotkera 5 mieścił się Polski Związek Zachodni, przy Licealnej 5 Państwowy Urząd Repatriacyjny, przy 3 Maja 34 posterunek MO

Na Starym Rynku pod nr 21-22 miał siedzibę Komitet Powiatowy PPR. W bliskim sąsiedztwie — pod nr 1-2 urzędował „burmistrz ob. Sobkowiak — pokój 7” i „wiceburmistrz ob. Wielgosz — pokój 9”, zaś przy ul. Generalissimusa Stalina 6 mieściło się biuro pełnomocnika Rządu RP, któremu podlegały wszystkie władze i urzędy jako szefowi administracji ogólnej i instancji, t.j. jako soroście powiatowemu”. Biuro to składało się z 12 referatów.

Były dwa dworce PKP: przy Placu Marszałka Roli-Zymierskiego „dworzec główny dla linii Zielonagóra-Gubin-Głogów zbudowanej w latach 1868-1870” oraz przy ul. Owocowej „dworzec południowy dla linii Zielonagóra-Sprota-wa”.

Jeszcze kilka reklam: „Sanitas — drogeria i perfumeria, Wiktor Weigt, Pionierska 62, pierwsza i największa polska placówka tej branży na ziemi lubuskiej, największe źródło zakupów wszelkich artykułów drogowych, kosmetycznych, opatrunkowych, technicznych i domowych”. „Antoni Sioma, mistrz krawiecki, Stary Rynek 9, wykonuje pierwszorzędą garderobę dla pań i panów”. „Bracia Jasińscy, Krawiecka 11 wejdzie od Rynku, skład i sprzedaż rowerów, wszelkie naprawy szybko i tanio”. „Soki i wina najkorzystniej kupisz u braci Zborowskich, Matejki 31”. „Gabinet kosmetyczny doktorowej Kotarskiej, długoletniej asystentki Kliniki kosmetycznej prof. Kłimeckiego w Warszawie, oferuje oczyszczanie skóry, masaż, specjalne maseczki, maquillegę oraz inne zabiegi, zaś wszelkich porad związanych z chorobami twarzy udziela lekarz na miejscu”.

Chodząc ulicami dzisiejszej Zielonej Góry i szukając śladów przeszłości — nazwisk ze starego informatora, nazw, adresów. Zegarmistrz p. Aulich przeprowadził się z Masarskiej na Żeromskiego. Pan Malicki już książkę nie sprzedaje, lecz sam je pisze. A pani Bogaczykówna wspomina zapewne, wraz z mężem, czasy swej wielkiej aktywności. Masaż, krawczy, ogrodnicy — nie ma po nich śladu. Nie ma kawiarni, w której byłoby „cicho, spokojnie, przytulnie”, trudno też znaleźć gdzieś jakiegokolwiek „przednie wyroby” — nie mówiąc już o „przystępnych cenach”. Inne czasy, inne życie.

Dawna ulica Generalissimusa Stalina jest dziś Aleją Niepodległości, Pionierska — Wrocławską. Ulica na której mieszkam od 16 lat, nazywała się kiedyś Topolowa i była, jak opowiadała sąsiedzi, ścieżką biegnącą wśród zieleni — o czym dziś myślę z lekką nostalgiją spoglądając przez okno na zwalistą bryłę „Topazu”.

HALINA AŃSKA

POSTAWY

Podczas moich ostatnich okolicznościowych, noworocznych podróży zdarzyło mi się napotykać obrazy o wydźwięku ku bardzo optymistycznemu. Wszystkie one nakierowywały uwagę — także innych osób — na zachowania młodych ludzi. Prowadziły do wniosku, iż dojrzejące pokolenie chyba jest trochę lepsze, szlachetniejsze niż to wynika z wielu narzekania, smutnych opinii.

Kiedys, gdy usadawiłem się w autobusie, aby przebyć trzydziestokilometrową, niedługą trasę nie nie zapowiadało, że nastąpi nieprzyjemny incydent. A już po paru kilometrach alko hol zaczął rozbierać faceta, który gdzieś pięćdziesiąt lat temu, nie bardzo było wiadomo, na jaki temat marudził i gdzie chce wysłać. Wyrażnie utrudniał pracę kierowcy i go zdenerwował. Na najbliższym przystanku do szło do ostrego spiecia, które spowodowało podpiły pasażer. Nie dawał się usunąć z autobusu, groził szoferowi, że on mu pokaże, w końcu rozpoczęła się szamotanina. Ująłem się głośno za kierownicę i miałem mu pomóc aż do finału sprawy. Po paru sekundach z przyjemnością stwierdziłem, iż nie jestem osamotniony. Dwóch bardzo młodych ludzi, może dwudziestolatków, niewiele mówiąc, wyciągnęło balagania

z autobusu, zatrzasnęli drzwi i pojechali dalej. Kierowca długo nie mógł dojść do siebie.

Innym razem w dużej poczekalni dworca pekaesowskiego znowu jakiś „polski kowboj” zakłócił spokój. Też miał z pięćdziesiąt lat. Zaczęwał dzweczyć. Wreszcie upatrzył sobie jedną blondynkę w kolejkę do kasy i głośno obrzucał ją najgorszymi słowami. Próbowaliśmy się opętać. Początkowo sędziłem, iż to znajomi.

I oto od trojki uczniów — chyba z klasy maturalnej, przedmaturalnej, wyszli ze świetlicy dla młodzieży — oddali się jeden, podszedł do leciwego mężczyzny i poprosił go, aby dziewczynę zostawił w spokoju. Zapytał, jakie on ma prawo jej publicznie ubliżać i jakie ma ku temu powody. Dojrzały mężczyzna groził, że uczniaka uderzy. Stracił wszak rezon, gdy młodzieniec odrzekł, iż nie pójdzie to tak łatwo. Zrobiło się zupełnie cicho, gdy podszedł jego koleś. Doradzili mu, by natychmiast poczekalnię opuścić. Ucznieli to. Oni zostali. Po chwili podchmielony facet przyszedł i głośno przeprosił dziewczynę.

A czy źle świadczy o młodym człowieku, kiedy po powrocie z seansu filmowego szuka kontaktu z jakimś ob-

szarzem platniczym nie było zmęczonych poetek?

FETA POETY. Stanisław Misakowski, poeta średniego lotu ze Słupska, obcho dził 50-lecie swojej twórczości. Z tej okazji Wydawnictwo Poznańskie opublikowało tom jego wierszy pt. „Zarna”, natomiast — jak doniósł „Tygodnik Powszechny” (nr 4) — „W kościele św. Jacka w Słupsku odbyła się uroczystość jubileuszowa 50-lecia pracy twórczej Stanisława Misakowskiego. Na wstępie uroczystości dziekan słupski, ks. Ryszard Król, odczytał życzenia przesłane pisarzowi przez biskupa Ignacego Jeża. Twórczość Stanisława Misakowskiego scharakteryzował Zbigniew Bienkowski (...). W uroczystości wzięli udział liczni mieszkańcy miasta oraz koledzy i przyjaciele z innych ośrodków w kra-

ju...”. I tak oto w praktyce realizuje się narodowe porozumienie.

UCZULENIE MIEJSCOWE. Pod takim nagłówkiem Michał Ogórek pomieścił w „Przeglądzie Tygodniowym” (nr 3) felieton pt. „Praca od święta”. Przy okazji czyni niestosowne żarty na temat Młodzieżowej Spółdzielni „Arka” w Zielonej Górze, której wyroby eksponowane na specjalnym stoisku w Pałacu Kultury cieszyły się powszechnym zainteresowaniem i dużym uznaniem podczas IV Zjazdu ZSPM. W samej Zielonej Górze „Arka” jest synonimem dobrej roboty, a jej patronacki sklep — zawsze zaopatrzony w ładne wyroby. Cóż z tego! Michał Ogórek ma zapewne „uczulenie” nie tyle miejscowe, ile... na dobre pomysły, inicjatywy i efekty...

STANISŁAW SWINIARSKI

obszarze platniczym nie było zmęczonych poetek?

FETA POETY. Stanisław Misakowski, poeta średniego lotu ze Słupska, obcho dził 50-lecie swojej twórczości. Z tej okazji Wydawnictwo Poznańskie opublikowało tom jego wierszy pt. „Zarna”, natomiast — jak doniósł „Tygodnik Powszechny” (nr 4) — „W kościele św. Jacka w Słupsku odbyła się uroczystość jubileuszowa 50-lecia pracy twórczej Stanisława Misakowskiego. Na wstępie uroczystości dziekan słupski, ks. Ryszard Król, odczytał życzenia przesłane pisarzowi przez biskupa Ignacego Jeża. Twórczość Stanisława Misakowskiego scharakteryzował Zbigniew Bienkowski (...). W uroczystości wzięli udział liczni mieszkańcy miasta oraz koledzy i przyjaciele z innych ośrodków w kra-

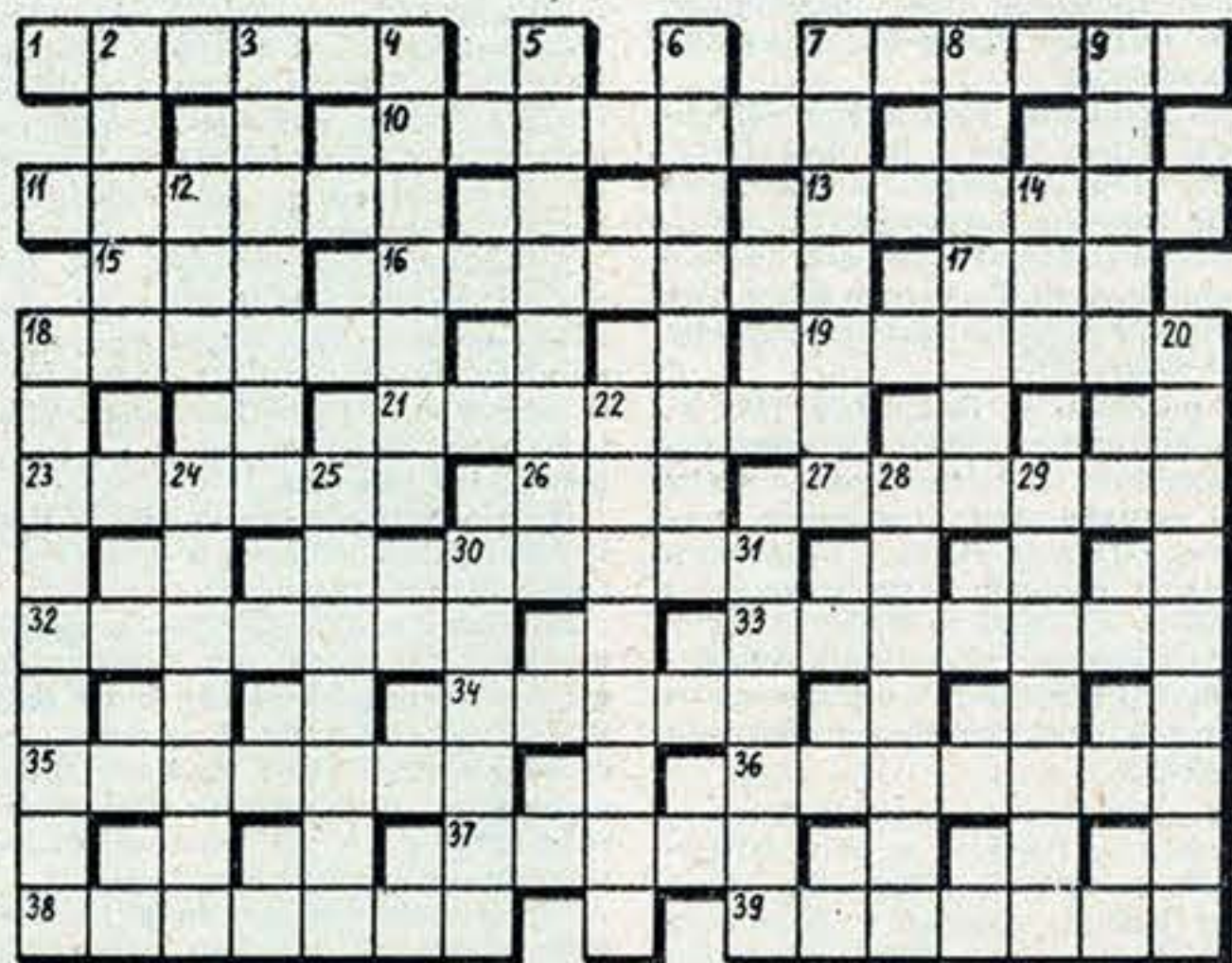
ju...”. I tak oto w praktyce realizuje się narodowe porozumienie.

UCZULENIE MIEJSCOWE. Pod takim nagłówkiem Michał Ogórek pomieścił w „Przeglądzie Tygodniowym” (nr 3) felieton pt. „Praca od święta”. Przy okazji czyni niestosowne żarty na temat Młodzieżowej Spółdzielni „Arka” w Zielonej Górze, której wyroby eksponowane na specjalnym stoisku w Pałacu Kultury cieszyły się powszechnym zainteresowaniem i dużym uznaniem podczas IV Zjazdu ZSPM. W samej Zielonej Górze „Arka” jest synonimem dobrej roboty, a jej patronacki sklep — zawsze zaopatrzony w ładne wyroby. Cóż z tego! Michał Ogórek ma zapewne „uczulenie” nie tyle miejscowe, ile... na dobre pomysły, inicjatywy i efekty...

nadodrze

ROZRYWKI UMYSŁOWE

Redaguje Zielonogórski Klub Szaradzystów



KRZYŻÓWKA
(Oprac.: „SŁAWICZ”)

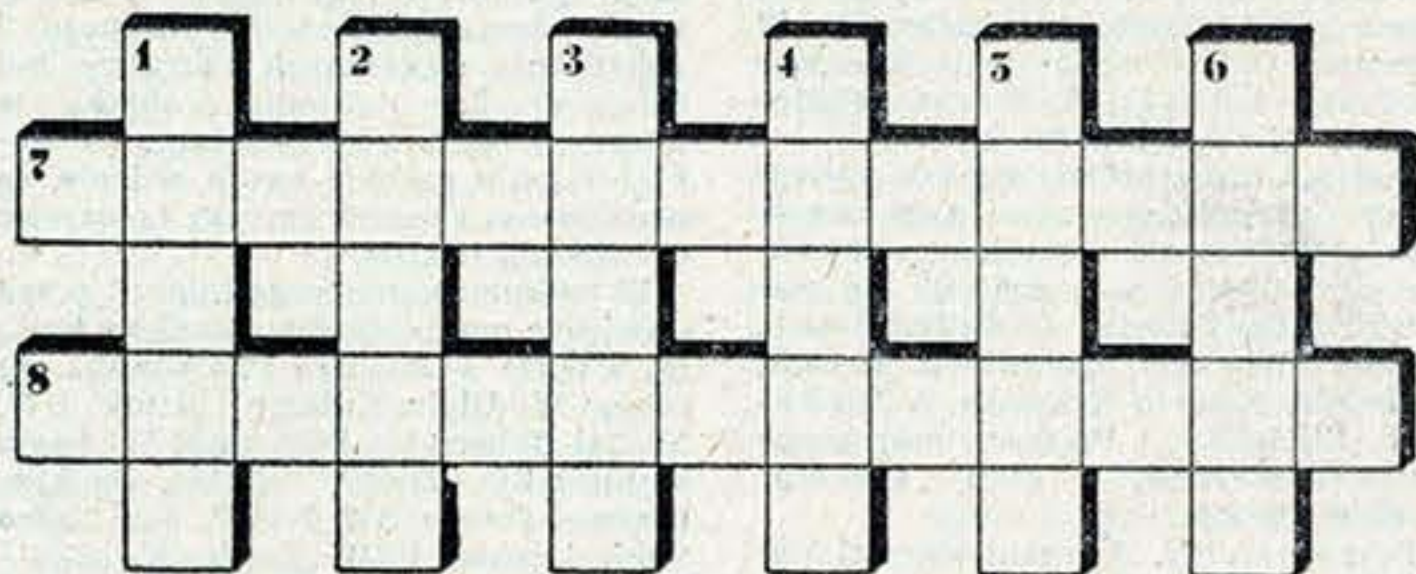
Poziomo: 1) przyprawa, 7) słynny z mądrości król Pyllos, walczył pod Troją, 10) herb Zauskich: baran srebrny w polu czerwonym, 11) szalas karpackich pasterzy, 13) patka z tyłu piąsacza, 15) pistolet polskiej konstrukcji, 16) obraz „trójwymiarowy”, 17) pierwiastek chemiczny, 18) element dawnych fortyfikacji, 19) Steve, niewidomy piosenkarz amerykański, 21) postać z „Wesela”, 23) autor trzeciej „Ewangelii”, 26) go zmierzchu, 27) część kolumny doryckiej, 30) skazany na dźwiganie sklepienia nieba, 32) tiret, 33) fortepianowy lub skrzypcowy, 34) tkanina na pieluszki, 35) rzadkie imię męskie, 36) miasto wojewódzkie, 37) pod fundamenty, 38) siostra Winnetou, 39) trójkątna chustka.

Pionowo: 2) miasto w Zielonogórskim, 3) rzeka w Zielonogórskim, dopływ Odry, 4) zwykły... chleba, 5) niedolega, 6) pasożytnicza choroba owłosionej skóry, 7) podpisuje list, 8) obowiązkowa w teatrze, 9) miasto wojewódzkie, 12) słynie ze sprytu, 14) krokodyl lub żółw, 18) rosyjski instrument muzyczny, 20) pozostałość po rozparcelowanym gospodarstwie rolnym, 22) tygodnik z felietonami D. Passenta i KTT, 24) część M-3, 25) ryba w niebieskie pregi, 28) pod nią okret, 29) pajęczak, pasożytuje na skorze kregowców, 30) majątek przedsiębiorstwa w gotówce, nieruchomościach itp., 31) stół wykopy.

KALAMBUR KOŁOWY — WSPAKOWY
(Oprac.: „SPATY”)

Ta odmiana kalamburu jest publikowana po raz pierwszy na łamach prasy polskiej.

Gdy zjaw skrzynia pancerna nadzieja na życie mierna.



MAŁA KRZYŻÓWKA
(Oprac.: „STANGAR”)

Poziomo: 7) Dyscyplina lekkoatletyczna, 8) Zadanie szachowe, w którym partner grający białymi daje mata w co najmniej czterech ruchach.

Pionowo: 1) Wewnątrz kości, 2) Wynalazca transformatora, 3) Płyn, 4) Angielski historyk, twórca tzw. Szkoły Cambridge (1834-1902), 5) Ptak drapieżny na polowanie, 6) Członek rodziny.

Rozwiązania zadań prosimy nadsyłać pod adres redakcji w terminie 14 dni od daty ukazania się numeru. Listy z rozwiązaniami trzech zadań wezmą udział w losowaniu nagrody książkowej wartości około 250 zł. Czytelnicy, którzy w tym losowaniu nie będą mieli szczęścia wezmą udział — razem z tymi, którzy rozwiązali dwa zadania — w losowaniu dwóch nagród książkowych po ok. 150 zł. Na kopercie z rozwiązaniami należy nakleić zamieszczony powyżej kupon z zaznaczeniem ilości odpowiedzi.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NOWOROCZNEJ

Prawidłowe hasło krzyżówki: „Dosiego roku życzy Państwowy Zakład Ubezpieczeń”. Nagrody ufundowane przez ODDZIAŁ WOJEWÓDZKI PAŃSTWOWEGO ZAKŁADU UBEZPIECZEŃ W ZIELONEJ GÓRZE wylosowali: bon premiowy PKO wartości 2.000 zł — Teresa Michalik z Białogostoku, bon PKO wartości 1.000 zł — Maria Kolosiewicz z Gorzowa Wlkp., bon PKO po 500 zł — Ryszard Szymczak z Lubka, Tadeusz Rozmiarek ze Swarzędza, Krystyna Pokrzywa z Jasionki w woj. rzeszowskim, Wiesława Cwojdzinska z Gorzowa Wlkp., Krzysztof Gadomski z Wrocławia oraz czytelnicy z Zielonej Góry: Tomasz Kossakowski, Alicja Królak i Bronisław Romanowski. Ponadto za rozwiązanie całej krzyżówki bon PKO wartości 3000 zł wylosował Stanisław Machowski z Lubania Śląskiego. Gratulujemy. Nagrody wysłamy pocztą.

ROZWIĄZANIE ZADAŃ Z NR 1:

Krzyżówka
Poziomo: piłkarz, matres, Ada, mate, piacz, gang, Solana, kowal, agama, ryt, rata, Kana, sedan, ser, rdza, tusz, Ezop, kurz, zol, karaś, lora, Adam, kot, balet, ranek, taczka, Alor, locha, Orkan, got, ananas, kanalia. Pionowo: prusak, kalamaz, Adana, raca, mag, atak, tenor, szklarz, plan, gwaz, ogar, Zyd, Ate, Rea, tatus, szpak, nur, dok, szlachta, szaruga, elana, kat, Grek, oda, roś, Olza, atalia, melon, Bacon, kora, toga, ras.
Tekstówka — „Jak Lach, tak Rusin po szkodzie mądrzeje, niechże się jeden z drugiego nie śmieje”.
Diakrostych — S. J. Lec „Rada” — „Nie pytaj kato o węzeł krawata”.
Nagrody książkowe wylosowali: Jerzy Schroeder z Gorzowa Wlkp. (za rozwiązanie trzech zadań) oraz Adam Dziurła z Łagowa i Józef Rudnicki z Zar. Gratulujemy. Nagrody wysłamy pocztą.

MaRGINAŁKI

PROZA POETEK. Pod takim tytułem Mirosław Sznajder omawia w 11 numerze (z ub. roku) „Nowych Książek” debiuty prozatorskie Elżbiety Cichly-Czarniawskiej i Lucji Danielewskiej. O tej drugiej pisze m.in. „Danielewska chce (najpewniej sobie samej, bo inni już to wiedzą) dowiedzieć, że poetka to najczystszej nie żadna blond piękność, żaden lektoduch, żyjący się boskim nektarem, lecz zmęczony człowiek pracy, jak wszyscy inni ludzie z pierwszego obszaru platniczego”. Czyżby na drugim